Dziś w numerze: oczy przymknięte sejfów • R. GLUTH Życie nocne w Łodzi – mieście • Z. NIENACKI Z dzienników • Gangsterzy i samochody • J. SKOSZKIEWICZ D'Oria ma • Tajemnice dyplomatycznych • Okaleczona ręka

odgłosy

WOJEWÓDZKA ODZNAKA MIŁOŚNIKÓW MIASTA ŁODZI

26 (519)
29. VI. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

KONRAD FREJDLICH

Miraże i złoto

Pierwsze lata nie były dla Tarnobrzega najszczęśliwsze. Ludzie ogarnęli się jako tako po wojennym wyniszczeniu, ale miasto dreptało w miejscu. Gdzieś w Polsce powstawały Nowe Huty, rozbudowywał się przemysł. Oni mieli na miejscu tylko namiastkę tego przemysłu, dwa maleńkie zakłady.

Pierwszy nosił nazwę „Wisła". Założył go jakiś przemyślny chłop, który w czasie okupacji robił mydło. Po wyzwoleniu Tarnobrzega wystarał się o jakieś upoważnienie, pojechał na Ziemie Zachodnie i przywiózł stare, poniemieckie agregaty. Nikt nie dawał mu najmniejszej szansy, że potrafi uruchomić tę aparaturę, ale uparty „przemysłowiec" dopiął swego. W ten sposób w Tarnobrzegu powstała wytwórnia świec, mydła i sody.

Drugim zakładem była kuźnia, w której wyrabiano podkowy dla koni systemem półprzemysłowym. Z czasem tak się rozwinęła, że podjęto w niej produkcję obrabiarek. Teraz te obrabiarki znajduja nabywców na zagranicznych ryn kach. Ale fakt pozostaje faktem — tarnobrzeski przemysł maszynowy narodził się z kuźni.

Miejsc pracy było jednak ciągle za mało, chociaż Tarnobrzeg liczył wówczas trochę ponad trzy tysiące mieszkańców, dwa razy mniej niż przed wojną. Ludzie jeździli do pracy odległej o trzydzieści, czterdzieści kilometrów, starali się o posady w Ostrowcu Świętokrzyskim, Mielcu i Stalowej Woli. Nawet miejscowe władze miały powody do narzekań. Oto jak niemy wyrzut tkwił w samym sercu miasta wzniesiony jeszcze przed wojną w stanie surowym budynek, który postanowiono przeznaczyć na Prezydium. Nic z tego, województwo nie przyznawało kredytu, prace wykończeniowe nie mogły ruszyć z miejsca. Wtedy ktoś z miejscowych rzucił z desperacji projekt, aby zrzec sie praw powiatu. Liczył na to, że Tarnobrzeg przyłączony do jakiegoś bogatszego powiatu więcej zdoła dla siebie wytargować.

Piotr Rozłucki, działacz zetemesowski w kombinacie siarkowym, który mieszka w Tarnobrzegu od roku 1945, wcześniej więc nim zaczął uczęszczać do szkoły, mówi mi, że do momentu uruchomienia kopalni nie zdawał sobie nawet sprawy, jakie jego miasto było maleńkie i senne. Wzrastał w niewielkiej izbie w obskurnym drewniaku. Od sąsiadów, mieszkajacych w podobnych warunkach, dzieliły ognisko domowe Rozłuckich drzwi zastawione szafą.

— Ten drewniak mam na fotografii. Bo już nie istnieje — wyjaśnia. — Blok, w którym teraz mieszkam, stanął niemal na tym samym miejscu, zwolnionym po drewniaku.

Kiedy Rozłucki chodził do szkoły, najwyższym domem w mieście był budynek Ubezpieczalni Społecznej. Liczył sobie raptem trzy piętra, ale chłopcy nazywali go między sobą „drapaczem chmur", nie tylko zresztą oni, bo był dumą całego miasteczka. Jedyną odmianę w monotonii codziennego życia stanowiły targi. W każdą środę wprost na rynek zajeż dżały chłopskie fury, woźnice strzelali z batów, a po zebraniu utargu udawali się do baru, zasłoniętego przed okiem ciekawskich cokołem pomnika. W czterdziestym piątym w pomieszczeniu tym był punkt wymiany pieniędzy, potem uruchomiono w nim podłą knajpę zwaną „Pod Bartkiem", co wobec bezeceństw, jakie się tam odprawiały, mogło obrażać patriotyczne uczucia, ostatecznie więc przemianowano bar na „Ludowy". Targi wyczerpywały listę odmian, chyba żeby wliczać letnie wyprawy nad Wisłę, w której corocznie ktoś tonął.

A przecież coś się w końcu odmieniło. W pięćdziesiątym czwartym zjechali do Tarnobrzega naukowcy, którym prze-

Dalszy ciąg na str. 4

Jarmark w POZNANIU

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Trzy razy do roku odbywa się w Poznaniu wielki jarmark. Dwa razy spotykają się tu — wiosną i jesienią — krajowi producenci z krajowymi handlowcami, a raz — zawsze latem — przyjeżdżają wystawcy z całego świata, aby kupcom przedstawić swoje produkcyjne osiągnięcia. To są MIĘDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE — jedna z większych imprez handlowych w Europie. A zaczęło się wszystko w 1921 roku, choć są i tacy, którzy genezy targowej imprezy skłonni są dopatrywać się w średniowiecznych jarmarkach.

Na jarmarku, jak to na jarmarku, każdy przywozi, co ma najlepsze, wykłada, aby wszyscy mogli obejrzeć i głośno zachwala swój towar. Przy okazji usiłuje sprzedać i to, co ma wcale nie najlepsze, a nuż znajdą się naiwni. Do Poznania w tym roku przybyło 40 wystawców łącznie z gospodarzami i ten fakt dał możliwość dokonania porównań.

W DRUGIEJ DZIESIĄTCE

Polska wśród 140 państw świata pod względem obszaru zajmuje 61 miejsce, pod względem liczby ludności — 19, a pod względem udziału w produkcji światowej — 11. Ta ostatnia lokata stawia nas na czele drugiej, światowej dziesiątki. Nie jest to złe miejsce, jeśli zważymy, że przed wojną udział Polski w światowej produkcji wynosił 1,3 proc., a obecnie — przekroczył 2 proc. Do tego warto jeszcze dodać, że w pierwszej dziesiątce uplasowali się kolejno: USA, ZSRR, NRF, Japonia, Wielka Brytania, Chińska Republika Ludowa, Francja, Włochy, Kanada i NRD.

Jeśli przyjmiemy produkcję roku 1950 za sto, to w roku 1960 wyniosła ona już 338 proc., a w roku 1968 — 640 proc., czyli zwiększyła się sześciokrotnie. Podobne tempo przyrostu produkcji notują inne kraje socjalistyczne: Czechosłowacja — 428, NRD — 469, Węgry 468 i ZSRR — 592. Z krajów kapitalistycznych w tym czasie podobne tempo przyrostu produkcji zanotowały jedynie Włochy — 417. NRF osiągnęła tempo przyrostu produkcji wynoszące 372 proc.

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

„W Moskwie stało się coś, co będzie się poważnie liczyć w międzynarodowym ruchu komunistycznym".

„Jeśli jakikolwiek zjazd lub narada zasługują na miano historycznych — to na pewno to odnosi się do moskiewskiej narady".

„Nigdy jeszcze w Moskwie na forum komunistów nie toczyła się tak zasadnicza i otwarta dyskusja".

Oto kilka zaledwie opinii, wypowiedzianych przez prasę zachodnią na temat światowej narady partii komunistycznych i robotniczych, która w dniach 5—17 czerwca obradowała w Moskwie. Pisaliśmy już, że nie wierzono, iż spotkanie dojdzie do skutku. Kiedy zaś stało się to faktem — koła imperialistyczne nie wróżyły jemu sukcesu. Jakże jednak mało oni wiedzą o ruchu komunistycznym!

Światowa narada przyjęła podstawowy dokument: „Zadania walki przeciwko imperializmowi na obecnym etapie oraz jedność działania partii komunistycznych i robotniczych, wszystkich sił antyimperialistycznych". Na ogólną liczbę 75 uczestniczących partii — tylko delegat Dominikańskiej Partii Komunistycznej nie poparł podstawowego dokumentu, zaś delegacje Komunistycznej Partii Australii, Włoch, San Marino i Reunionu wyraziły całkowitą aprobatę jedynie dla trzeciego rozdziału dokumentu, w którym sformułowany jest program walki przeciwko imperializmowi.

Plonem narady są także inne dokumenty. Przypomnijmy Czytelnikom najważniejsze z nich. A więc: odezwa „W związku z 100 rocznicą urodzin Włodzimierza Ilijcza Lenina", apel „O niezależność, wolność i pokój dla Wietnamu", „Apel w obronie pokoju", oświadczenie, popierające walkę narodów arabskich przeciwko agresji Izraela oraz oświadczenie solidarności z komunistami i demokratami, będącymi przedmiotem najokrutniejszych represji, a prowadzącymi walkę przeciwko dyktatorskim reżimom reakcyjnym.

Powzięto ponadto niezwykle ważne postanowienie — uznano za celowe zwołanie wszechświatowego kongresu antyimperialistycznego, powołując komisję przygotowawczą w składzie przedstawicieli 13 partii.

Najwięcej jednak uwagi poświęca się w świecie nowej platformie działania ruchu komunistycznego, a więc pierwszemu z wymienionych dokumentów (w całości był on publikowany w prasie codziennej). Wielkość tego dokumentu polega przede wszystkim na tym, iż przedstawia alternatywę antypokojowej, imperialistycznej polityki Stanów Zjednoczonych — drogi i metody walki o zapewnienie pokoju i utrwalenie światowych zdobyczy socjalizmu.

Gdybyśmy jednak znaczenie moskiewskiej narady mierzyli li tylko treścią dokumentów — byłby to wynik niepełny. Na całość obrazu składa się także atmosfera, w jakiej dyskutowano i podejmowano uchwały. Ich projekty przygotowano kolegialnie, w ostrej niekiedy polemice i tak wcześnie, że mogły być omawiane przez wszystkie partie. Na samej naradzie każda partia miała możliwość określenia swego punktu widzenia. Do komisji narady wpłynęło ok. 70 poprawek, z których prawie połowa w całości lub części została uwzględniona. Po raz pierwszy też wypowiedzi w dyskusji były publikowane, a przewodniczący delegacji mieli możność dzielenia się swymi spostrzeżeniami na konferencjach prasowych. Ta metoda prowadzenia narady liczy się nie mniej niż same dokumenty. Osiągnięta jedność jest zatem tym większa i trwalsza.

Już dziś wiadomo, że kilka — z różnych względów — nieobecnych w Moskwie partii w pełni solidaryzuje się z decyzjami narady i będzie je realizować. Można przeto mówić o CAŁKOWITYM SUKCESIE JEDNOŚCI, co będzie miało niezwykle rozległe następstwa.

Nic dziwnego, że moskiewska narada doczekała się ogromnej ilości komentarzy, w których, jakże często, ujawnia się zaskoczenie i niepokój kół imperialistycznych. Zaskoczenie, ponieważ nie oczekiwały one tak jednomyślnej postawy partii, niepokój, ponieważ znacznie trudniej będzie im teraz realizować ich imperialistyczne cele.

Warto zwrócić uwagę Czytelników na jeszcze jedną sprawę — te fragmenty wystąpień wielu spośród przedstawicieli 75 partii, które odnoszą się do antyjednościowej działalności maoistycznego kierownictwa KPCh. Choć sprawa ta nie została podjęta w dokumencie narady — można przecież mówić o izolacji tej postawy, która była i jest wykorzystywana przez imperializm.

I na zakończenie ważna informacja dla tych wszystkich, którzy chcieliby uważnie przestudiować wystąpienia na naradzie i jej dokumenty. Jak się dowiadujemy, niedługo w wielotysięcznym nakładzie ukaże się zbiór tych materiałów. Sądząc po dużym zainteresowaniu światową naradą w Polsce, będzie to wydawnictwo rozchwytywane przez Czytelników.

W. SŁAWSKI

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

Technik czy artysta?

Należało zadać sobie pytanie czy model absolwenta ukształtowany w 24-letniej pracy dydaktycznej PWSSP w Łodzi odpowiada aktualnym potrzebom przemysłu. Konfrontacja działalności PWSSP z praktyczną oceną pracy absolwentów Uczelni w placówkach przemysłowych stanie się wskazówką dla tworzenia nowego programu nauczania, który by w sposób pełniejszy i doskonalszy kształtował kadry przyszłych projektantów.

PWSSP w Łodzi powstała w roku 1945. Była ona pierwotnie podobna do typu akademii sztuk pięknych. Jednakże założenia programowe od początku były nieco odmienne: głównym celem miało być kształcenie artystów dla potrzeb przemysłu. W związku z tym nastąpiła reorganizacja. Zlikwidowano wydziały powtarzające problematykę innych uczelni plastycznych w Polsce, a więc: Wydział Filmowy z zakładem operatorskim i scenograficznym, Wydział Plastyki Przestrzennej, Grafiki i Architektury Wnętrz. Rozbudowano natomiast inne wydziały, których istnienie zdeterminowane było potrzebami odradzającego się wzornictwa przemysłowego. A więc rozrósł się do wielospecjalistycznego Wydział Tkaniny, sekcję ubioru przekształcono w odrębny Wydział Ubioru. Istnienie i rozbudowanie tych specjalizacji właśnie w Łodzi było uzasadnione zarówno koncentracją przemysłu włókienniczego jak i zgrupowaniem w ośrodku łódzkim wszystkich nieomal zjednoczeń i laboratoriów przemysłu lekkiego.

PWSSP kształci artystów-plastyków, przygotowanych do obejmowania stanowisk projektantów w komórkach wzorcujących oraz stanowisk organizatorów czy też opiniodawców dla handlu, placówek badawczych i programujących. Uczelnia łódzka stworzyła własną, odrębną od wszystkich zagranicznych szkół artystycznych metodę kształcenia projektantów przemysłowych. Jej specyfika polega na podniesieniu roli pierwiastka artystycznego do rangi naczelnego. W uczelniach zachodnioeuropejskich i amerykańskich akcentuje się raczej przysposobienie techniczne, modelarskie, bądź umiejętność reklamy. Konsekwencją jest świetne wykonanie techniczne wzorów, lecz także pewne ograniczenie koncepcji artystycznej.

Program nauczania łódzkiej PWSSP obejmuje obok przedmiotów specjalistycznych, bardzo szeroki zakres ogólnego przysposobienia artystycznego i teoretycznego. Bowiem opanowanie metodyki projektowania stanowi wprawdzie warunek konieczny ale niewystarczający dla powodzenia wszelkich dokonań we wzornictwie. Dyscypliny plastyczne jak malarstwo, rzeźba, grafika, stanowią niejako „laboratorium form" dla sztuki użytkowej. Projektant, który nie uprawia twórczości w najogólniejszym tego słowa znaczeniu, nie może nadążyć za zmianami mody i przechodzi na pozycje pracy odtwórczej. Zatem wzorzec przemysłowy tej twórczości użytkowej powinien być nie celem samym w sobie, lecz skutkiem ogólnoartystycznego wykształcenia i wychowania.

Drugim, naczelnym problemem łódzkiej Uczelni jest sprawa ściślejszej współpracy z przemysłem lekkim, z Ministerstwem Przemysłu Lekkiego oraz podległymi zjednoczeniami. Współpraca owa datuje się od początku istnienia Szkoły: pedagodzy PWSSP pierwsze doświadczenia wzornictwa masowo powielanego czerpali właśnie z przemysłu. Ci sami pedagodzy, nim przemysł zorganizował własną służbę wzorniczą kształtowali wzornictwo krajowe. Ta forma kontaktu przetrwała do dnia dzisiejszego. Specjaliści Szkoły uczestniczą w branżowych komisjach ocen, zapoznają się bezpośrednio z rodzajem wzornictwa, śledzą nowe tendencje i metody produkcyjne. Ponadto uczestniczą w rozmaitych komisjach konkursowych organizowanych przez agendy przemysłowe dla podniesienia jakości wzornictwa, a także w celu doszkalania artystycznego pracowników przemysłu.

Wskazane byłoby poszerzenie jeszcze zakresu tych kontaktów nie tylko w zakresie umów etatowych, lecz także przez organizowanie cyklicznych wykładów o nowych osiągnięciach i sposobach produkcji przemysłowej.

Niemniej istotną sprawą dla prawidłowego kształtowania artysty plastyka jest projekt poszerzenia współpracy w dziedzinie konkretnych zleceń przemysłowych. Szkoła opracowywała dotychczas projekty ubiorów roboczych dla służby zdrowia jak również zagadnienia wzornicze inspirowane sztuką koptyjską, asyryjską i babilońską. Projekty te nie były wykorzystywane w aktualnej produkcji przemysłowej. Czy nie byłaby interesującym eksperymentem realizacja tych często oryginalnych rozwiązań?

Inną jeszcze formą współpracy Szkoły z przemysłem są praktyki wakacyjne i przeddyplomowe w zakładach przemysłowych. Pedagodzy prowadzący specjalizację kierują studentów zgodnie z ich wiedzą zawodową do odpowiednich zakładów, gdzie po zapoznaniu się z ogólnym cyklem produkcyjnym zatrudniani są w konkretnych pracach z dziedziny wzornictwa. I tu należałoby się chyba zastanowić nad projektem zbiorowych praktyk w przemyśle z udziałem pracowników Uczelni. Ponadto ustalić zakłady produkcyjne, do których kierowano by praktykantów corocznie w sposób planowy, nie zaś akcyjnie jak dotychczas. Usprawniłoby to w wysokim stopniu cały proces praktyk przemysłowych.

Większość studentów przebywających na praktykach przeddyplomowych realizuje swe prace dyplomowe w rygorach przemysłowych, jest to bardzo ważne dla samej treści pracy, jak i rozszerzonych możliwości materiałowych. I tu zarysował się następny problem — czy nie należałoby wprowadzić generalnej zasady realizowania prac dyplomowych w przemyśle? Wykonana praca pozostałaby własnością przemysłu i mogła by ewentualnie być wykorzystana dla normalnych celów produkcyjnych. Prace owe wzbogaciłyby nasz stan posiadania o oryginalne i piękne wzory.

Aby student PWSSP mógł koncentrować się na wybranych przez siebie specjalnościach wzorniczych, wskazane byłoby preferowanie dwóch typów projektowań przemysłowych: projektowań, które mogą być aktualnie przydatne dla powielań przemysłowych oraz projektowań przyszłościowych, które wskazywać mogą drogę rozwojową dla całej produkcji przemysłowej.

Wszystkie te wnioski proponujące pewne reformy procesu nauczania mają charakter projektów, niemniej mogą z pewnością przyczynić się do szybszego zapewnienia przemysłowi wykwalifikowanej kadry projektantów.

Przypływ najlepszych kadr dla przemysłu jest troską uczelni. Troską przemysłu powinno być stworzenie dla artystów plastyków optymalnych warunków dla pracy i rozwoju artystycznego. Czy nie wskazane byłoby więc dla ściślejszego powiązania obu partnerów utworzenie przy Uczelni instytutu, który zająłby się sprawami badawczymi, a wyniki wspólnych przemyśleń artystów projektantów i pracowników przemysłu były by wskaźnikami programującymi tak metody dydaktyczne jak i zakres oraz treść nauczania?

W ten sposób nastąpi w przemyśle synteza trzech pojęć technicznego, artystycznego i naukowego, które są symbolem szeroko pojętej integracji sztuki, nauki i techniki. W nowoczesnym świecie ten model, bogaty i generalny decydować będzie o charakterze wytwórczości przemysłowej.

Łodzianie w karykaturze

STANISŁAW CZERNIK
poeta, prozaik, krytyk
Rys. Ibis-Gratkowski

JUŻ ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH"

Melchior Wańkowicz —
„W SZRANKACH O MNISZKÓWNĘ"

Listy DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Jerzy Poradecki w recenzji pt. „O wierszach M. Szargana" informuje Czytelników „Odgłosów", że fragment wiersza w którym mówię o wojnie jest zły, ba, zakrawa na dowcip. A ponieważ analiza wiersza „Miecze" posłużyła Poradeckiemu do uogólnień w rodzaju: Szargan smutny, wędrujący z tobołkiem w ręku do krainy swego dzieciństwa jest najciekawszy. Może myślec o własnych niepo siadających wymiaru historycznego spra wach (podkreślenie moje), proponuję, przyjrzyjmy się zabiegowi jakiego dokonuje Poradecki na moim wierszu. Pisze on: „Szargan nie wahający się korzystać ze skojarzeń najodleglejszych, ponosi wyraźną klęskę gdy pisze:"

...bucik dziecka
Któremu rączek nie złożono bo
były z dymu.

Poradecki dokonuje tego fałszerstwa w sposób bardzo prosty wyrywając ze środka wiersza fragment. Fragment taki pozbawiony kontekstu musi zabrzmieć śmiesznie. I teraz Poradecki może z czystym sumieniem napisać: „Sformułowanie takie zakrawa na dowcip".

A przecież pierwsza strofka wiersza pt. „Miecze" z której wydarto cytowany fragment brzmi:

Pod kamieniem rdzewieją złamane miecze.
Kto klęskę poniósł wie niebo spalone
I okno i ziarno i bucik dziecka
Któremu rączek nie złożono bo
były z dymu.

Pytam autora recenzji J. Poradeckiego. Pytam Pana Redaktorze, bądźcie tak uprzejmi i uczciwi — odpowiedzcie Czytelnikom „Odgłosów" i mnie dlaczego ten czterowiersz zakrawa na dowcip.

Stawiam proste, jasne pytanie. Proszę o zamieszczenie mojego listu w „Odgłosach".

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

Jarmark W POZNANIU

Dalszy ciąg ze str. 1

W ostatnim 25-leciu rozwinęliśmy nie tylko tradycyjne gałęzie wytwarzania, ale stworzyliśmy wiele działów produkcji, któ rych nie było przed wojną. Znamy dosko nale punkt startu, choć dla młodych — to tylko wiadomości z podręcznika historii gospodarczej Polski. Nie można jednak wiecznie zasłaniać się poziomem startu. Trzeba sobie zadać pytanie: jak wyglądamy w konfrontacji z innymi?

W niektórych dziedzinach produkcji re prezentujemy już niezły poziom, w innych — obok tradycyjnej szarzyzny mamy do zanotowania wysokiej klasy osiągnięcia. Jednak o poziomie techniki danego kraju decydują nie genialne rezultaty, ale właśnie masowość — poziom tego, co się produkuje powszechnie, na codzienne potrzeby kraju. Można techniczny postęp polskiego przemysłu mierzyć w różny spo sób. Można np. stwierdzić, że jeżeli w latach 1950—1968 ilość obrabiarek wyprodukowanych w PRL wzrosła 8 razy, to ich waga — 4,7 raza. Świadczy to o postępie konstrukcyjnym, czy jednak zadowala

Można poziom produkcji przemysłu elektrotechnicznego zmierzyć ilością znaków jakości. W 1967 roku było ich prze szło 3 tys., tzn. 2 razy więcej niż w 1966 roku. Można przypomnieć fakt, że stworzyliśmy wielki przemysł okrętowy i budujemy wielką chemię. I to wszystko prawda. Dla jej poparcia można jeszcze przypomnieć zmiany jakie zaszły w struk turze polskiego eksportu. Jeśli w 1950 roku eksport maszyn i urządzeń stanowił zaledwie 7,8 proc. całości, to w ubiegłym roku osiągnął już najwyższą pozycję, bo 37 proc. Na drugim miejscu znajduje się sprzedaż paliw, surowców i materiałów — 33,1 proc., dalej idą artykuły powszech nego użycia produkowane przez przemysł — 15,9 proc. i na końcu towary pochodzenia rolnego i spożywcze — 14 proc.

RWPG I LICENCJE

Mamy zagranicznym kontrahentom do zaoferowania rzeczy ciekawe, dobre, bardzo dobre, znakomite i nijakie. Czasem proponujemy innym to, co sami potrafią zrobić lepiej. I tu właśnie coraz silniej daje o sobie znać potrzeba specjalizacji i międzynarodowego podziału pracy. Najlepszym przykładem tego są dwie dziedziny: maszyny budowlane i motoryzacja.

Budowlani wprawdzie stale skarżą się na brak potrzebnego im sprzętu, choć czasem nie potrafią do końca wykorzystać tego co posiadają, ale polski przemysł budowy maszyn budowlanych dokonał wielkiego postępu i jego propozycje godne są zainteresowania. Nic w tym dziwnego, gdyż nad jego rozwojem czuwają specjaliści z Politechniki: Warszawskiej, Wrocławskiej, Częstochowskiej, Łódzkiej, Aka demii Górniczo-Hutniczej, Wojskowej Aka demii Technicznej, Instytutu Lotnictwa,

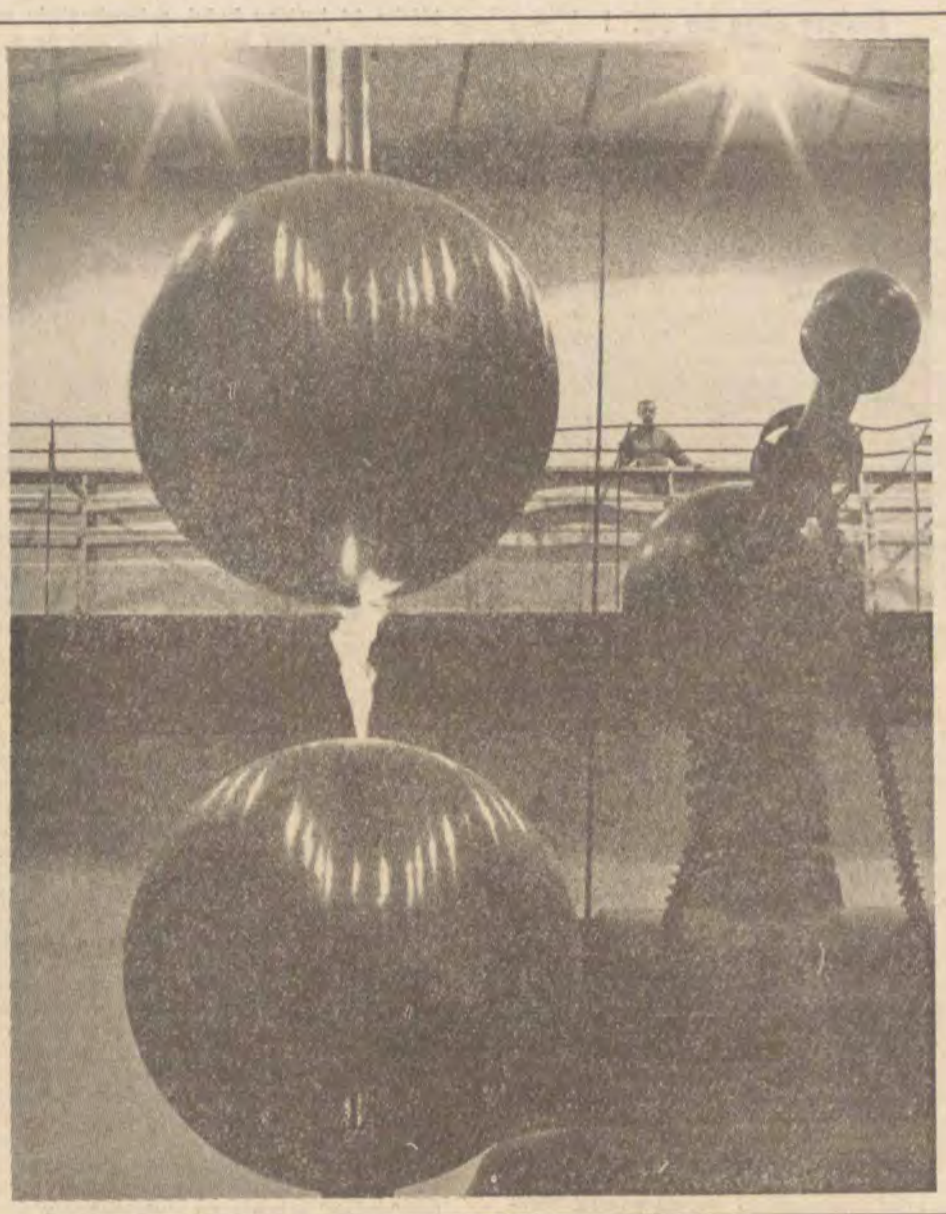

Instytutu Organizacji i Mechanizacji Budownictwa i Instytutu Elektroniki. Poza tym postęp w tej dziedzinie jest wynikiem przyznania Polsce specjalizacji w ramach RWPG. Dzięki temu w roku ubiegłym eksport maszyn budowlanych i drogowych dwa i pół raza przekroczył poziom eksporu z 1966 roku. Dalszy planowany postęp w tej dziedzinie pozwoli równocześnie na rozwój międzynarodowej kooperacji.

Podobnie z pozoru wygląda sytuacja w polskiej motoryzacji. Międzynarodowa kooperacja jest tu już faktem. Dziś dostarczamy niektórych części i elementów do „fiata" dla fabryk w ZSRR i Jugosławii. W ubiegłym roku polski przemysł motoryzacyjny rozpoczął produkcję kilku nowych typów samochodów. „Fiata 125 P" montowano już w 40 proc. z części produkowanych w kraju. W tym roku udział krajowych części ma wynieść 75 proc. FSC — Starachowice w wyniku współpra cy z firmą Chausson dały nową kabinę „starom 28 i 29". Jelczańskie ZS — Jelcz uruchomiły produkcję ośmiotonowego samochodu ciężarowego — „jelcz 315", a Sanocka Fabryka Autobusów — Sanok wypuściła próbną serię furgonów typu N 110 na podwoziu „stara — 28". Największą karierę w polskiej motoryzacji zrobiły — jak do tej pory — samochody ciężarowe. Ich produkcja zbliża się do poziomu światowego. W strukturze samochodowego eksportu np. dostawy „nys" i „żuków" oraz części zapasowych zajmują połowę całej sprzedaży. Samochody osobowe — 30 proc. Obok pochodnych staruszki „warszawy" największą karierę robią „stary" — całkowity produkt polskiej myśli technicznej.

Dzieje polskiego przemysłu samochodowego dowodzą, że licencja daje tylko podstawę do dalszego działania, stanowi skok przez przeszkodę, ale ostatecznie niczego nie rozwiązuje. „Fiat" nie rozwiąże marzenia o popularnym i tanim samochodzie. Może stanowić zaledwie podstawę do tego. Z drugiej strony — dzieje polskiego i nie tylko polskiego przemysłu motoryzacyjnego dowodzą, jak marnuje się środki i możliwości. Międzynarodowy podział i specjalizacja w tej dziedzinie pozwoliłyby szybciej pokonać liczne bariery na drodze do rodzimej motoryzacji. Na razie każdy kupuje licencję i radzi sobie jak umie.

BEZ POSTĘPU

Międzynarodowa, poznańska konfrontacja pozwala stwierdzić zastój w niektórych dziedzinach produkcji. Dotyczy to — niestety — dziedzin najbardziej bliskich człowiekowi. Wprawdzie już w szkole uczą, że postęp w gospodarce i technice zależy od poziomu produkcji środków produkcji, ale każdy z nas najchętniej wierzy temu, co widzi w sklepie. Nie ma więc postępu w produkcji pralek. To, co posiadamy i oferujemy, to dzieje przeszłości świat dokonał w tej dziedzinie dużych zmian. Sporo mamy jeszcze do zrobienia w produkcji lodówek, choć tu nie jest tak najgorzej. Np. agregaty absorbcyjne kupuje u nas NRD. Rocznie sprzedajemy 150 tys. lodówek, głównie małych, w tym do Anglii i Austrii.

Zupełnie źle natomiast jest z produkcją odbiorników radiowych. Wprawdzie „tranzystory" nam się choć w części udały, to aparaty lampowe nadal są na niskim poziomie. Producenci polskich telewizorów nawiązali kooperację z „Teslą", co już jest stopniem uznania dla dokonującego się w tej dziedzinie postępu. Magnetofony ZR Kasprzaka, produkowane na licencji „Grundiga", kupiły w ilości 60 tys. ZSRR, NRD, Węgry, Jugosławia i Bułgaria. Udaje się nam produkcja kuchenek gazowych. To też staje się dziedziną polskiej specjalizacji. Do wysokiego ich poziomu potrzeba tylko drobnostki — magnetycznego urządzenia do automatycznego wyłączania gazu, kiedy z garnka wykipi mleko lub zupa. I tu postąpiono słusznie. Zamiast zawracać głowę drobiazgiem i szukać własnego rozwiązania — kupiono licencję tego zmyślnego urządzenia.

Największe zmartwienie sprawia jednak przemysł chemiczny, papierniczy i poligraficzny. W ubiegłym roku wyprodukowano w Polsce 200 tys. ton tworzyw sztucznych. Jest to mniej więcej poziom produkcji NRF z 1952 roku. Nic więc dziwnego, że krajowe potrzeby pokrywa się z importu, a ma to swoje znaczenie, gdyż tworzywa sztuczne znajdują zastosowanie we wszystkich dziedzinach wytwarzania.

Amerykanie w tym roku na 38 Międzynarodowych Targach Poznańskich pokazali tylko jedną dziedzinę produkcji — opakowania. Wiąże się to z czterema innymi — hutnictwem, papiernictwem, chemią i poligrafią. Hutnictwo decyduje o jakości blachy do wytwarzania puszek, chemia — daje szkło i tworzywa, papiernictwo — papier w różnej jego postaci, a poligrafia — nadruki. Z tego wszystkiego mamy tylko jedno — szkło. Produkujemy butelki dla zagranicznych firm. Przy okazji warto poinformować Czytelnika o produkcji niezwykle pięknego szkła gospodarczego. Kupuje je NRD, kupują inni. Z opakowaniami jednak u nas nadal jest źle. Pierwsze jaskółki niezłych opakowań pokazał „Uniwersal", ale to kropla w morzu potrzeb. Ładne opakowania ma już „Pollena", ale to też nie zbliża nas do ideału.

CO DALEJ?

Poznański jarmark dobiegł końca. Handlowcy podliczą wielkość transakcji, ilość umów, pochwalą się rezultatami swojej pracy. Brygady robocze rozbiorą dekoracje i zdemontują eksponaty. Zagraniczni goście odjadą do swoich krajów. Poznań powróci do stanu „letniej nieważkości" i zacznie powoli przygotowywać się do następnej, tym razem krajowej imprezy — Jesiennych Targów Krajowych. Za rok znów spotkamy się w Poznaniu. Znów zapanuje nastrój jarmarku i tylko specjaliści zadadzą ponownie pytanie: co dalej? Jaki charakter mają mieć targi w Poznaniu? Lipsk, który poprzedza i zamyka poznańską imprezę wyraźnie rozdzielił dwie sfery produkcji — maszyny i urządzenia pokazuje oddzielnie, a pozostałe wyroby przeznaczone do codziennego użytku — oddzielnie w domach handlowych. Brno — specjalizuje się w pokazach maszyn i urządzeń. Poznań nadal łączy wszystkie dziedziny, kładąc jednak nacisk na to, że MTP są imprezą dla specjalistów, okazją do konfrontacji, wymiany doświadczeń i towarów. Skorzystaliśmy z tej pierwszej — najtrudniejszej, z konfrontacji. W przyszłym roku przyjdzie spróbować ponownie, zobaczyć, co nowego dokonaliśmy w trwającym jeszcze 1969 roku?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gangsterzy i samochody

Kazał się nazywać Harry Koenig. Jednakże wiele osób wiedziało, że naprawdę nazywa się Harry Jetke. Często mówiono, że jest aktorem filmowym, więc nic dziwnego, że używa pseudonimu.

Ubiegłego roku, cała złota młodzież Monachium — synowie i córki ze słynnych książęcych domów: Wittelsbach, Turn i Taxis, dzieci miliarderów i potentatów przemysłowych — była stałym gościem na wszystkich party, które urządzał Harry z ogromnym szumem w swych luksusowych apartamentach przy Belgradstrasse.

W „Klubie 13", w Play Boy", w „Take Five", słowem wszystkie ekskluzywne i szykowne lokale i lokaliki każdego dnia gościły Harrego. Zawsze był otoczony rojem pięknych dziewczyn. Pieniądze wydawał z tak szerokim gestem, że biedli przy tym nawet dziedzice magnackich fortun i synowie miliarderów. Skąd brał te pieniądze? Nikt nie ośmielił się okazać aż tak prostackiej ciekawości i braku wychowania, żeby go o to spytać...

W zimie ub. roku Harry wyjeżdża do ekskluzywnej miejscowości górskiej Kitzbuehel, w Austrii. Zajmuje luksusowy apartament w Posthof Hotel. Udaje świetnego narciarza, choć nigdy nie stał na nartach, daje królewskie napiwki, rezyduje, jak udzielny książę. Już wkrótce znają go tutaj, jako fanatycznego wielbiciela samochodów. Zmienia je nieomal co tydzień.

Adorują go wszystkie pokojówki, ale tutaj, w Kitzbuehel, interesuje go tylko młoda 19-letnia dziewczyna, blondynka, cicha, spokojna, nieco zadumana, cała jeszcze w blasku niedawnej sławy, gwiazdka filmowa — Jessica Dorn. Harry dwoi się i troi, czaruje, imponuje, góruje nad wszystkimi... wynajmuje wspólny apartament na nazwisko Jessiki. Ona podpisuje wszystkie czeki, on reprezentuje dom.

Kim naprawdę jest Harry? Nikt nie zadał sobie trudu, żeby postawić takie pytanie. Ależ też i nikt nie mógłby na nie odpowiedzieć, bo osoby playboya strzeże młody adwokat z Monachium, Hermann Messmer.

Harry Jetke był robotnikiem i mieszkał w Berlinie wschodnim. Jego matka jest wdową i kobietą nieuleczalnie chorą. Kilka lat temu Jetke uciekł do Berlina zachodniego.

„Nie mam zamiaru brudzić sobie rąk spłacaniem Volkswagena, kupionego na raty" — powiedział dumnie natychmiast po ucieczce z Berlina i zaraz zabrał się do „pracy"... W Berlinie zachodnim i Norymberdze sprzedawał dywany, które brał nie wiadomo skąd. W Monachium dziesięć razy sprzedał mieszkanie, które nigdy nie istniało. W Paryżu handlował klejnotami wątpliwej wartości. I tak, z miesiąca na miesiąc, wspinał się coraz wyżej i wyżej po szczeblach złodziejskiej drabiny, by wreszcie osiągnąć wymarzony szczyt: „Żyć tak, jak żyją ludzie, którzy zadali sobie tylko tyle trudu, żeby się urodzić, i nic ponadto..."

Peter Wollner, agent ogłoszeniowy z Salzburga spędzał w Kitzbuehel wszystkie urlopy. Wesoły i czarujący, szybko włączył się do grona młodych ludzi, adorujących Harrego Koeniga. Imponował mu człowiek, który w ciągu jednego wieczoru wydawał tyle, ile on zarabiał w przeciągu miesiąca. Któregoś dnia odebrał w swym biurze telefon: „Peter, zdarzyła mi się fatalna historia. Zgubiłem pęk kluczy, a w tym klucze od moich czterech samochodów. Podaję ci ich numery. Każ zrobić duplikaty i przyślij mi je migiem"...

Peter był tak uszczęśliwiony prośbą „króla Kitzbuehel", że klucze przyniósł mu osobiście.

Kilka dni później znów telefon: „Peter, widziałem dziś na autostradzie trzy „Porschy", prowadziły je czarujące dziewczyny. Czy mógłbyś dostać ich adresy?"

Nic łatwiejszego. Peter ma dobrego kolegę, Franza, którego ojciec jest komisarzem policji...

I oto pewnej mroźnej, styczniowej nocy, o godzinie pierwszej rano, podchmielony Peter stwierdza zdumiony, że znajduje się w szarym „Mustangu", przed dworcem w Salzburgu. Nawet nie wie, jak się w nim znalazł. Obok siedzi jakiś nieznany mu Włoch, o twarzy bandziora. Harry, Włoch i on grali w karty. Peter przegrał. Dwanaście tysięcy szylingów, których nie miał. Harry uparł się, że za niego zapłaci. Peter podpisał czek bez pokrycia. Teraz, przed dworcem, stoi na czatach, podczas gdy Harry poszukuje żółtego „Porscha", do którego Peter dostarczył mu klucze...

Żółty „Porsch" jest już skradziony, to czy się lekko przed „Mustangiem". Harry daje umówiony znak. W rezerwuarach jest dostateczna ilość paliwa. A więc jazda do Kitzbuehel.

W ten sposób Peter Wollner, z niewinną buzią dziecka z chóru kościelnego, wchodzi do „gangu Porschów".

Skradziony samochód trzeba przemycić za granicę. Peter robi to na spółkę z kolegą Harrego, Rainerem Gluthem. Trzeba znaleźć garaż, starą chałupę, nie rzucającą się w oczy, żeby wóz spokojnie przemalować na czerwono. Peter wchodzi w kontakt z pewnym agentem nieruchomości. Czerwonego „Porscha" trzeba przemycić do Włoch, do Bolzano.

Manfred Mucha pracuje przy pompie na stacji obsługi samochodów w Kitzbuehel. Kocha sportowe samochody. Jak tu nie zachwycać się, widząc codziennie takie wozy, jak „Ferrari", albo „Alfa Romeo", albo „Jaguar", albo „Maserati".

— Manfred, ile zarabiasz miesięcznie?

— Około trzech tysięcy szylingów.

— To niewiele. Trzeba mieć tyle pieniędzy, żeby móc żyć, jak człowiek.

Manfred zapamiętuje tę złotą myśl. Gdy kilka dni później Harry proponuje mu 20 marek za numer każdego wozu, nazwisko właściciela i numer kluczyków samochodowych, Mucha zgadza się. Widzi też, że Harry wpisuje te informacje do małego notesu, z którym nigdy się nie rozstaje. Jego stronice pokryte są numerami samochodów; niektóre są już wykreślone... Nie trzeba być prorokiem, żeby wiedzieć do czego potrzebne są Harremu te szczególiki.

To właśnie Peter przedstawia Harremu jeszcze jednego mieszkańca Salzburga — Nicolasa, młodego człowieka z zamożnej rodziny, który nie potrzebuje wią-

Dalszy ciąg na str. 7

Miraże i Złoto

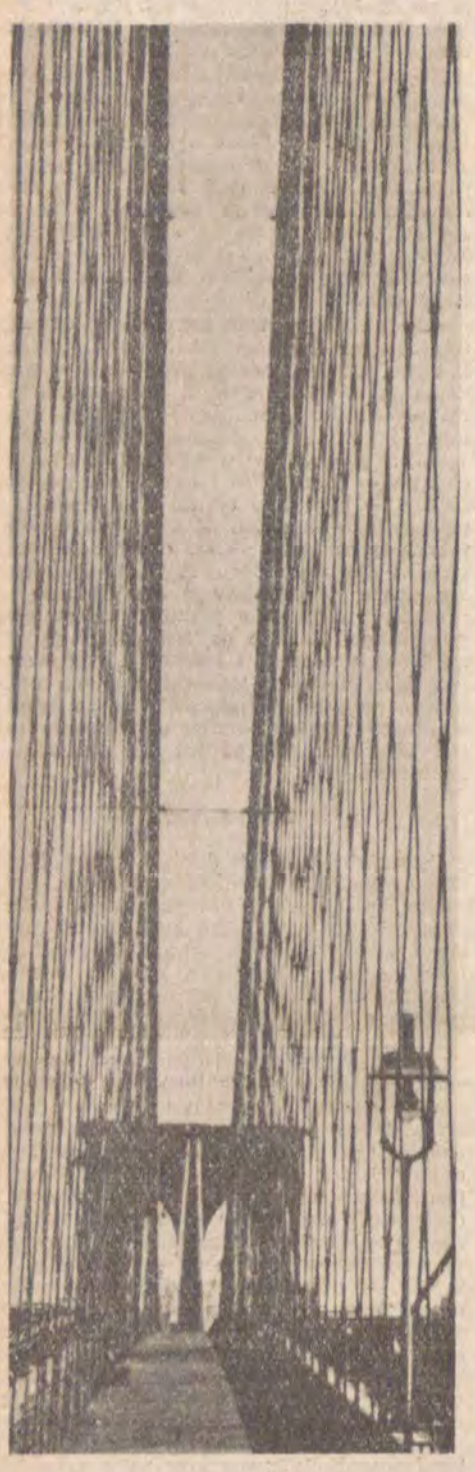

Dalszy ciąg ze str. 1

wodził profesor Stanisław Pawłowski. Ekipa nie zabawiła długo w mieście. Geologowie przenieśli się do pobliskiej wsi Mokrzyca, gdzie zbudowano dla nich drewniany barak. Barak to już było coś, bo w Tarnobrzegu zdążono zapomnieć, że istnieją takie zawody jak murarz czy cieśla.

Geologowie zapuścili w ziemię świdry i wydobyli pierwsze próbki siarkowej rudy. Dało to w Tarnobrzegu powody do licznych komentarzy. Ludzie nie mieli wyobraźni, nie sądzili więc, by z tej rudy mogło coś wyniknąć.

— Siarka — mówili niektórzy — wielka mi rzecz siarka. Nie trzeba profesorów, żeby ją znaleźć.

— A może tu przemysł pobudują — spekulowali inni — teraz inne czasy.

— A pobudują, pobudują — zobaczycie — wykpiwali optymistów sceptycy. — Sam Belzebub na ciepłą posadkę tu przyjdzie.

I nagle ludzie dowiedzieli się, że obok Tarnobrzega powstanie kopalnia. Kartacz wystrzelony z kamiennej armaty na pomnik Bartosza Głowackiego nie zrobiłby chyba większego zamieszania, niż ta wiadomość. Optymiści triumfowali.

— A co, nie mówiliśmy?

* * *

Teraz wszystko zaczęło się dziać w Tarnobrzegu tak szybko, że miejscowi zatęsknili do swego spokojnego, sennego życia. Siarka w jednej chwili unicestwiła piesniejącą przeszłość miasteczka. Zaroiło się od nowych, śmiałych ludzi, którzy początkowo bliźliwie, ale z wysoka patrzyli na rodowitych tarnobrzeżan. Przybysze mieli dyplomy magistrów i inżynierów, mieli także pieniądze, więc ogołacali ze wszystkiego sklepy, wybrzydzali się do ekspedientek, kręcili nosami w restauracjach. Tarnobrzeżanie nie umawiali się, tak jednak jakoś wyszło, że ignorowali kopalnianych ludzi. Stanowili w mieście większość, wydawało im się, że to dobra taktyka na utarcie nowym nosa. Przybysze nie przejmowali się tym, żyli we własnym, zamkniętym gronie. W mieście wybudowano wtedy dwa pierwsze bloki mieszkalne, które zajęli pracownicy kopalni.

— Pal ich sześć — pozbywając się galicyjskiej gładkości mówili niektórzy tarnobrzeżanie. — Niech oni tam mają wygody, my pozostaniemy przy swoim.

Tak mówiono, dopóki nie ruszyła odkrywkowa kopalnia w Piasecznie. Bo w ogromnym wyrobisku wykopanym nad Wisłą na dobre hasały już potężne koparki do usuwania nadkładu i do urabiania rudy. Co pewien czas w Tarnobrzegu słychać było stłumiony pogłos wybuchów. To górnicy wyrywali ziemi kolejne tony siarkowej rudy. Nad wyrobiskiem unosiła się ogromna chmura szaro-żółtego pyłu. Taki był przełomowy dla Tarnobrzega rok 1958. W piaseczyńskiej kopalni wydobyto blisko 40 tysięcy ton rudy. Inicjatywę w mieście przejmowali górnicy i miasto przyjmowało to już bez oporów, wiązało swój los z siarką. Kombinat wchłonął rodowitych tarnobrzeżan, dał im mieszkania i pracę. Rozpłynęli się wśród przybyszów, którzy stanowią bezwzględną większość. Dziś w Tarnobrzegu mieszka blisko 16 tysięcy ludzi, czterokrotnie więcej niż dziesięć lat temu. Kopalnie i zakłady przetwórcze siarki zatrudniają 10 tysięcy pracowników.

Wiceprzewodniczący Miejskiej Rady w Tarnobrzegu Stanisław Banaś, któremu przedstawiłem, nic nie przesadzając, swoje poczucie bezdomności po przyjeździe do miasta i rozpaczliwe poszukiwanie noclegu, powiedział z uśmiechem:

— No cóż, trochę się pan pospieszył z wizytą. O jakiś rok. Bo w przyszłym roku zaczynamy budowę hotelu na dwieście miejsc.

A ja zapytałem:

— Do jakich wy rozmiarów chcecie rozbudować Tarnobrzeg?

Prezes Banaś zaciągnął się papierosem i powoli wypuszczając dym oznajmił:

— Powiem panu tak. Aktualnie zatwierdzono plany na 20 tys. mieszkańców. My to pewnie w najbliższym czasie przeskoczymy. Widział pan pewnie to najnowsze osiedle w stanie surowym. Osiedle numer 2. Jak się to zasiedli... Więc do władz poszedł wniosek na 40 tysięcy mieszkańców. A u najwyższych czynników kołaczemy o zgodę na 60 tysięcy.

Takiego Tarnobrzega nie umiałby sobie pewnie wyobrazić nawet hrabia Tarnowski, choć nie zbywało mu na fantazji i ludzie z otoczenia dziedzica do dziś puszczają w obieg anegdoty o pańskich wybrykach. Hrabina dla odmiany zupełnie nie miała poczucia humoru. Na wyjezdnym, kiedy w czterdziestym piątym na zawsze opuszczała Polskę, aby połączyć się z mężem, który zrezygnował z powrotu do bolszewickiego kraju wyraziła żal, że nie spaliło się to wszystko, co nie pytając jej o zgodę, przejmowali w swoje ręce chłopi. W dzikowskim pałacu otwarto Technikum Rolnicze funkcjonujące do dziś. Wtedy, na początku Ludowej, wydawało się to wszystkim wydarzeniem niesłychanej wagi, epokowym. Teraz? Teraz wszystkie miary zawodzą, rzeczywistość prześcignęła najśmielszą tarnobrzeską fantazję. Wystarczy się przejść na osiedle nr 1 zaczynające się nad brzegami Wisły, standardowo wielkomiejskie, stopione w jedność z tradycyjnym Tarnobrzegiem, choć bez porównania od niego większe.

Za ten rozmach można wybaczyć nawet „Śmietankową Aleję", rząd bliźniaczych jednorodzinnych domków z garażami, w których mieszkają dyrektorzy kombinatu.

Prezes Banaś powiada:

— Osiedle „jedynka" to dopiero początek. Zbudujemy w Tarnobrzegu jeszcze trzy takie osiedla. Powiem panu, w tym roku oddamy do użytku dziewięć nowych bloków.

Miasto okupują dwie firmy budowlane: miejscowa i mielecka, jeśli pominiemy te wszystkie „Mostostale" i „Hydrobudowy", które tu również coś znaczą, jeśli nie liczebnie, to w każdym razie wagą wykonywanych przez nie świadczeń. Rozbudowuje się bowiem nie tylko Tarnobrzeg, rozbudowują się także okoliczne kopalnie i rozbudowują się zakłady przetwórcze siarki.

— Ale my jedziemy z nimi na jednym koniu — uśmiecha się prezes Banaś. — Prawie połowę naszych radnych stanowią pracownicy kombinatu.

Na początku wyglądało na to, że ta mieszanina ludzka, która ze wszystkich stron zjeżdżała do Tarnobrzega jest łatwiej zapalna niż siarka. W biały dzień na rynku górnik zadźgał nożem innego górnika. Siarka nobilitowała obu, dała im zawód i pracę. Nawet niezbyt wprawne oko wychwycić mogło bez trudu, że jeszcze niepewnie noszą swoje kaski i po raz pierwszy zetknęli się z przemysłem, z przemysłem w ogóle. Był później jeszcze inny dramatyczny wypadek: w hotelu robotniczym zabito portiera. Za drobiazg: portier żądał poszanowania hotelowego regulaminu. Potem skradziono w kościele po raz drugi koronę z cudownego obrazu. Przypisano to automatycznie przybyszom.

— Komuniści przyjechali, nic dziwnego — można było usłyszeć wypowiadaną z satysfakcją opinię.

Ale oskarżenie było o tyle wulgarne, co i przedwczesne. Aresztowano gdzieś na Rzeszowszczyźnie kleryka z seminarium duchownego w Przemyślu, który specjalizował się w świętokradztwach. Nawet nie dla zysku, z choroby, bo potem targnął się na swoje życie.

— W hotelach robotniczych mieszka blisko trzy tysiące osób — powiedział prezes Banaś — tych hoteli jest aktualnie trzynaście.

Potem zadzwonił do referatu ewidencji ludności i oznajmił mi na koniec:

— Nie myliłem się, choć chciałem to jeszcze sprawdzić. Mamy w Tarnobrzegu o ponad tysiąc mężczyzn więcej niż kobiet. Na ogół młodych mężczyzn. Jesteśmy społeczeństwem w ruchu. To rodzi problemy.

Trzeba odwołać się do kronik, tych kronik, które tworzy dzień dzisiejszy. Szperanie w zakurzonych annałach przeszłości okazałoby się zawodne. Historyk, w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, nie ma nic do szukania w Tarnobrzegu. To dziś zupełnie nowe miasto.

Więc najpierw ruszyła kopalnia w Piasecznie, w dzień Barburki 1957 roku. Prawdę mówiąc nie byli jeszcze przygotowani do obchodów tego górniczego święta, które teraz zmienia cały Tarnobrzeg w jedną, ogromną salę taneczną. Pierwszą Barburkę świętowano w baraku: tuż przed uroczystością rozebrano działowe ścianki, żeby ludzie mogli się pomieścić. Były życzenia, gratulacje, kiełbasa i po pół metra na głowę.

A potem zdarzenia następowały szybko, coraz szybciej. W Machowie rozpoczęto montaż stalowych konstrukcji zakładu produkcji siarki. I kiedy instalowano pierwsze zbiorniki w fabryce kwasu siarkowego w Machowie, na terenie piaseczyńskiej kopalni montowano ogromną koparkę nowego typu. Potem ruszyła kruszarnia rudy. I już w listopadzie sześćdziesiątego w kombinacie, przed uroczystym

ŻYCIE NOCNE WŁODZI-MIEŚCIE

ROBERT GLUTH

Historia jak z kiepskiego scenariusza filmowego: cudzoziemiec chce się zabawić, na jego ofertę chętnie odpowie każda dziewczyna spełniająca dwa warunki — posiadająca odpowiednią prezencję i odpowiedni brak skrupułów.

Że takich dziewcząt jest dużo, o tym wiemy. Ale cudzoziemiec zatrzymuje się w reprezentacyjnym hotelu dużego miasta, gdzie nie istnieją znane w innych krajach domy publiczne. Wobec tego zachodzi klasyczny przypadek, gdy konieczność rodzi inicjatywę. Natychmiast znajdują się pośrednicy, ułatwiający obu stronom zbliżenie. Więcej, powstaje całe przedsiębiorstwo pośredników: jakiś pan z recepcji, drugi pan pilnujący wejścia do restauracji przeznaczonego dla gości hotelowych i windziarz. Panienka niemeldowana spędza noc dewizową, po czym dyskretnie uiszcza „przedsiębiorstwu" należność w dewizach lub złotych polskich, skladając barwny pakiecik pod miękki chodnik na umówionym piętrze. Interes kwitnie ku zadowoleniu wszystkich stron, pośrednicy naturalnie trzymają sztamę, są zmuszeni nawet w tym celu powiększyć personel o niektórych boyów hotelowych, ale ryzyko „wpadki" jest minimalne. Hotel jest przecież jedynym reprezentacyjnym miejscem tego typu w drugim mieście w Polsce, kontrole osób przybywających z zagranicy mogą odbywać się tylko w bardzo ważnych przypadkach, każdy buzię trzyma zamkniętą na kłódkę we własnym interesie. Obejście prawa? Dosyć znaczne: stręczenie do nierządu, ułatwianie tego procederu, łamanie przepisów meldunkowych, pomijając już zamienianie reprezentacyjnego hotelu w dom publiczny.

Żadne ze zdań, które tu napisałem nie wylęgło się w mojej fantazji, fakty miały miejsce, zainteresowane organa ścigania musiały skapitulować wobec jednolitego muru milczenia, rzecz cała skończyła się na częściowej wymianie obsługi hotelu. Tak zakończyło się „prosperity" luksusowego przedsiębiorstwa kuplerskiego, działającego na terenie Grand-Hotelu w drugim, jak się rzekło, mieście Polski.

Czy istotnie rzecz nie może się powtórzyć? Naiwne pytanie. Pań o lekkim trybie życia nie brakuje, a zyski nęcą ewentualnych pośredników, mimo ryzyka. Historia przypomina pozostawienie otwartej kasy pancernej w banku zamkniętym na drewniany skobel.

Wspomniałem tutaj o zjawisku niezbyt typowym dla Łodzi — o życiu nocnym kategorii „S". Istnieje jeszcze przecież inny sposób spędzania godzin od zmierzchu do świtu — dla ludzi pozbawionych szwedzkich koron czy amerykańskich dolarów, a zaopatrzonych w skromne delegacyjki urzędnicze, wreszcie dla samych żądnych przygód rodaków z Łodzi-miasta.

Tutaj trzeba sobie od razu powiedzieć kilka podstawowych prawd. Łódź w nocy jest pozornie ogromną pustynią, miastem o skandalicznie małej ilości hoteli, o jedynym lokalu-mordowni nocnej, czynnym do godziny piątej nad ranem. Czasami konieczność spędzania nocy na dworcach (notabene obskurnych) rodzi ciągoty do niewybrednej rozrywki i jakiejś większej wygody u osób przyjezdnych. Specyficzna struktura naszego miasta — wielkiego i przemysłowego — powoduje, że inicjatywa spoczywa w ręku elementów co najmniej wątpliwych. Jestem człowiekiem, który z chęcią zadeklarowałby pewną sumę ze swego honorarium na wzniesienie przy ul. Piotrkowskiej pomnika milicjanta, który musi być taktowny, nie może się denerwować, a musi interweniować w przypadkach skrajnych — milicjanta zdającego sobie sprawę, że trzeba by jakiejś obłędnej ilości permanentnie działających batalionów operacyjnych, aby wprowadzić zgodność życia nocnego w metropolii włókniarskiej z elementarnymi przepisami kodeksu karnego. No, ale bataliony służby porządkowej nie mogą nic uczynić same, skoro kompetentne czynniki od kultury, gastronomii, hotelarstwa itp. uważają, że wszystko jest w porządku.

Kiedy idzie się Piotrkowską nad ranem i świeci słoneczko, a zaafekowani ludzie spieszą do pracy, wówczas można mieć złudzenie, że główna ulica naszego miasta stanowi ilustrację do książeczki dla grzecznych dzieci. Ale w godzinach wieczornych i w nocy ta sama ulica zamienia się w jakiś ponury Pigalle dla ubogich.

Każde życie nocne ma swój początek. Funkcjonariusze MO bez trudu rysują trasy prostytutek działających w sercu miasta i oznaczają punkty, w których odbywają się transakcje wstępne. Prostytutki „trzeciej kategorii", najporządniejsze, spacerują dajmy na to po Piotrkowskiej od Traugutta do Placu Wolności, zaś jednym z ulubionych miejsc ich przechadzek — jest ponadto odcinek ulicy Narutowicza aż do wieżowca TV. Panowie i władcy tych niezbyt szczęśliwych kobiet, o których już obszerniej pisałem na łamach „Odgłosów", przebywają w tym czasie w takich kawiarniach jak „Warszawianka", „Egzotyczna", „Danusia"... To jest rodzaj punktów dyspozycyjnych, bo wielu sutenerów dysponuje poważnym kapitałem i większą ilością „pracownic". Prostytutki wprowadziły od niedawna dodatkową instytucję — tzw. „barki wędrowne". Każda niemal jest równocześnie nielegalnym handlarzem wódki w cenie 40 zł za ćwiartkę. „Każdy ma prawo mieć ćwiartkę w torebce, to czego się władza czepia". Chętnych nie brakuje, dostawa „towaru" jest bryskawiczna, prawie nieuchwytna,

przecięciem wstęgi, wyprodukowano czystą siarkę. Pierwsze dwadzieścia ton. A na Barburkę przyjechał Władysław Gomułka i wpisał się do pamiątkowej księgi:

„Załodze Kombinatu Tarnobrzeskiego — robotnikom, inżynierom, technikom i pracownikom administracyjnym składam gorące pozdrowienia w dniu oficjalnego uruchomienia pierwszego etapu kombinatu i życzę im serdecznie osiągania coraz lepszych wyników, które służyć będą ich własnemu dobru oraz będą pomnażać siłę i dobro ojczyzny — Polski Ludowej".

Teraz zdarzenia zaczęły następować tak szybko, że już rzadko kto potrafi się połapać w ich chronologii. W kombinacie ruszyła produkcja superfosfatu. Niedługo potem zaczęto montować koparki dla kopalni Machów, a w rok później łyżki koparek zaczęły zdejmować nadkład ziemi, żeby się dostać do rudy. Kwas siarkowy i superfosfat zaczęto liczyć na miliony ton. Wtedy też ruszyła kopalnia Grzybów, kopalnia podziemnego wytopu siarki. Potem kopalnia w Jeziórku. Tu nie trzeba zdejmować nadkładu, aby mozolnie dostać się do rudy. Wystarczy zapuścić głęboko w ziemię specjalne rury tłoczące powietrze i gorącą wodę, aby na powierzchnię wydostała się siarka, czysta siarka.

Tak mi relacjonują kronikę zakładów w „Pentagonie", ogromnym biurowcu kombinatu, wystawionym w samym środku dawnej wsi Machów, która została starta z powierzchni ziemi.

— Nie, pięć zabudowań jeszcze zostało — wyjaśnia mi ktoś, kto precyzyjnie zna ten rachunek.

— Co tam — macha ręką pisarz Stanisław Orzeł, pracownik kombinatu. — Jestem tu kolego od początku. I sam nie mogę się połapać. Tu wszystko dzieje się tak prędko. Za prędko.

Podał mi kawał siarczanej rudy.

— To machowska? — spytałem.

Skinął tylko głową.

W godzinach przedpołudniowych Tarnobrzeg pustoszeje. Wyludnione niemal ulice pozwalają zorientować się, ile ludzi pracuje dla siarki. Tej siarki, która krzepnie na dziedzińcu kombinatu w żółtawo-czerwone zwały o połysku złota. Wyludnia się zresztą nie tylko Tarnobrzeg, pustoszeją okoliczne wsie, bo autokary dowożą ludzi do pracy z odległości sześćdziesięciu kilometrów. Te wszystkie autokary pokonują co dzień drogę równą połowie obwodu ziemi. Jeżdżą do Machowa, Grzybowa, jeżdżą do Jeziórka i Piaseczna. A tam wśród pól grzechoczą taśmociągi, uwijają się caterpillary, ogromne czerpaki zgarniają rudę albo nadkład, zwałowarki monotonnie usypują hałdy. Wszystko dla siarki. Dla możnej Pani Siarki, która przeobraża ludzi i krajobrazy.

KONRAD FREJDLICH

BUKARESZT PLAC REPUBLIKI.

JAN SAWICKI

Bucura znaczy cieszyć się,

Niemal każda stolica, bez względu na to czy jest stolicą wielkiego, czy małego kraju, budzi w turyście specjalne zainteresowanie. Kraj może posiadać wiele pięknych i wielkich miast, wiele najciekawszych nawet zabytków, uroczych rezerwatów przyrody — to są piękności, które pragnie się poznać — ale stolica budzi zawsze największe zainteresowanie i wywiera najtrwalsze wrażenie.

Tak jest też niewątpliwie z Bukaresztem — stolicą Rumunii, kraju któremu zarówno przyroda, jak i historia nie poskąpiły wielu uroków i wspaniałych zabytków. Trzeba przy tym powiedzieć, iż Bukareszt usytuowany został w nie najciekawszym regionie. Baragan bowiem, w centrum którego położona jest półtoramilionowa stolica Rumunii, to równinny, bezleśny, pozbawiony wielkich pomników kultury — step. Mimo to jednak każdy zagraniczny turysta, skądkolwiek by nie przybył, pozostaje na zawsze pod przedziwnym urokiem tego miasta.

Tak przynajmniej spotkanie ze stolicą Rumunii odczuwam ja, który w swym dość długim życiu — jak się to mówi — z niejednego pieca chleb jadłem i niejedno, także stołeczne, miasto widziałem.

Ale żadna z tych stolic nie ma tego, co kryją w sobie mury Bukaresztu: jakiegoś nieuchwytnego, nie dającego się w słowach wyrazić uroku. Trudno ustalić skąd on się bierze.

Czy stąd, że gdy wpadniesz samochodem, czy zwyczajnie trolejbusem z lotniska w szeroki bulwar Magheru, Balcescu, Republici czy Gheorghiu-Deja olśniewa cię wielkimi wystawami magazynów, frontonami, bogato szklonych nowoczesnych gmachów, a wieczorem powodzią świateł?...

Czy może ten dziwny urok Bukaresztu bierze się stąd, że tuż obok siebie doskonale współżyją splecione genialnie w jedną całość przez rumuńskich urbanistów i architektów na pl. Republiki: XIX-wieczna architektura byłego pałacu królewskiego, dziś Pałacu Republiki — siedziby Rady Państwa, muzeum sztuki i sali koncertowej, gmach Ateneum z tego samego okresu, gmach Biblioteki Uniwersyteckiej, hotel Athene Palas i bizantyjska cerkiewka z potężną, trochę może przyciężkawą bryłą gmachu KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej.

A może na odczucie uroku Bukaresztu, jeżeli już mowa o urbanistyce i architekturze, wpływają wielokilometrowej długości aleje północnej, willowej dzielnicy miasta? Wysadzono je po obu stronach podwójnymi, a nawet poczwórnymi szpalerami lip, klonów, platanów i nie kończącymi się wielobarwnymi, trzy, a nawet cztery razy do roku kwitnącymi, rozpiętymi między drzewami girlandami róż.

A może tego przedziwnego uroku dodają Bukaresztowi piękne, rozległe parki położone nad sztucznymi, ręką człowieka urządzonymi jeziorami, zasilanymi w wodę przez niewielką rzeczkę Colentinę? Latem cicho suną po ich spokojnej tafli liczne stateczki wycieczkowe, łódki i kajaki, wieczorami rzęsiście iluminowane lampionami i kolorowymi lampkami. Nad brzegami tych jezior urządzono liczne plaże (położony daleko od wielkich rzek i naturalnych zbiorników wodnych Bukareszt ma więcej zagospodarowanych miejsc kąpieliskowych aniżeli leżąca nad Wisłą Warszawa), a nad zaspokojeniem potrzeb wyżywieniowych dziesiątków tysięcy plażowiczów czuwa tu aż siedem doskonale wyposażonych restauracji, z doskonałą kuchnią i grzeczną, liczną obsługą.

Gdy tak dalej zastanawiam się nad tym skąd się bierze przedziwny urok Bukaresztu myślę, że może tworzy go spotykane tu na każdym kroku bezpośrednie sąsiedztwo tętniących życiem i nieustannym ruchem nowoczesnych dzielnic z cichymi, nieomal średniowiecznymi zaułkami, zabudowanymi parterowymi, przeważnie kunsztownie zdobionymi domkami, z ręcznie kutymi, żelaznymi kratami w oknach i szczelnie często przez całe lato zamkniętymi przed słońcem okiennicami?...

A może ten nieuchwytny, trudny do wyrażenia urok Bukaresztu zrodziło bezpośrednie sąsiedztwo dnia wczorajszego, uosobionego w wiejskich niemal przedmieściach rozkrzyczanych, barwnych strojami regionalnymi i cygańskimi — bazarach, z najnowszą historią: ciągami nowoczesnych arterii, wyrosłych w ostatnich dziesięciu latach osiedli mieszkaniowych i przemysłowych Balta Alba, Militari, Floreasca, 1-Maja...

Mogę powiedzieć na pewno, że ten swoisty wdzięk nadają stolicy Rumunii w poważnym stopniu jej mieszkańcy, pogodni, słoneczni jak tutejsza pogoda. Największym zaś urokiem i uśmiechem Bukaresztu są kobiety o smagłej przeważnie cerze, migdałowych — nieco rozmarzonych oczach.

Odczucie pogody w Bukareszcie rodzi się chyba i stąd, że nie widzi się tutaj tabunów rozhukanej, niesfornej, nie mówiąc już o chuligańskiej, młodzieży.

Mógłbym wymieniać długo jeszcze przyczyny, których skutkiem jest ten przedziwny urok Bukaresztu. Mogłyby się wśród nich znaleźć i bogate w zbiory liczne muzea, z jedynym w swoim rodzaju skansenem, zwanym Muzeum Wsi, położonym malowniczo nad brzegami jeziora Herestreu, i przeważnie grzeczną, uśmiech niętą bardzo rzadko używającą słowa „kolega" obsługę restauracji, i same restauracje doskonale urządzone i zaopatrzone.

Są naturalnie i tutaj pewne przejawy życia, nam Polakom, nie zawsze odpowiadające, które u nas nie znalazłyby prawa obywatelstwa. Ale czyż gdziekolwiek na świecie istnieje ideał, który spotkałby się z całkowitym uznaniem?

Uwzględniając jednak nawet te ogólne „ale" trzeba powiedzieć, że każdy kto przybywa do Bukaresztu, naturalnie bez jakichś specjalnych uprzedzeń, zostaje pod urokiem tego miasta.

A może wpływ na to ma sama nazwa miasta, po rumuńsku brzmiąca „Bucuresti"? Trzeba bowiem wiedzieć, że w języku naszych sąsiadów zza Karpat słowo „bucura" znaczy cieszyć (się).

---

krótko mówiąc, wszystko jasne. O ujęciu decyduje przypadek.

Oddzielny rozdział należy poświęcić osławionemu lokalowi o nazwie „Casanova".

„Casanova" jest w pewnym sensie klasyczna: w drzwiach wejściowych stoi „wykidajło", znający na wyrywki światek przestępczy. Wie kogo wpuścić, kogo nie — na jego plus zapisać można jednak to, że istotnie utrzymuje porządek. Jest on „wykidajłą" całkowicie surrealistycznym. Podstawowym bowiem jego zajęciem nie jest wyrzucanie lecz wpuszczanie gości — oczywiście za skromną opłatą od 30 do 50 zł od osoby. Potem gość nabywa już legalny bon konsumpcyjny i ma prawo zalać się kompletnie w sztok. Zawsze mnie interesowało, dlaczego „Casanova" nie jest obiektem zainteresowania studentów Szkoły Filmowej: jakaż to piękna etiuda o facetach snujących się z kąta w kąt i ich przygodnych, nie bezinteresownych znajomych. Tyle kroć opisywana pijalnia piwa przy ul. Piotrkowskiej jest ogródkiem jordanowskim w porównaniu z tym lokalem.

Ale „Casanova" posiada jeszcze jedną groźną osobliwość: taksówki czekające przed lokalem. Takie taksówki są słabo widoczne w dużym zagęszczeniu ulic, ale w owym jedynym punkcie muszą jednak wyznaczać sobie rendez-vous, ponieważ życie nocne Łodzi opiera się w gruncie rzeczy na trzech mocnych jak beton filarach.

Choć moi rozmówcy bardzo nie lubią słowa gang, jednak w tym wypadku inne określenie się nie nasuwa. Połączenie taksówkarza który „wszystko wie", taniej prostytutki i osoby prowadzącej melinę pijacką stanowi fundament nocy wielkiej Łodzi.

Można się sprzeczać ilu taksówkarzy zaangażowanych jest w procederr nabywania przez pasażerów wódki w prywatnych domach o drugiej w nocy, można się sprzeczać ilu z nich ma swoje stałe „klientki" rozmawiające swoistym szyfrem z osobą prowadzącą wóz, gdy amator silnych wrażeń towarzyszący dziewczynie jest już mocno zalany.

Skoro jesteśmy już przy nielegalnym wyszynku, to trudno nie wspomnieć o tak ciekawej rzeczy jak geografia melin pijackich. Znajdują się one oczywiście wszędzie — i na peryferiach i w centrum, ale „złota droga" wiedzie wzdłuż ulicy Kilińskiego, także nieco w bok przez Wschodnią i okolice, tak że przez ulicę Nawrot. Działa tutaj zarówno prawo popytu jak i bliskość Dworca Fabrycznego, z którego rozpoczyna się szlak kolusz kowski. Reszta naturalnie wiadoma.

I znów niejednemu dzielnicowemu włosy stają dęba na głowie i znów marzy o jakiejś akcji specjalnych batalionów, ale tu się sama nasuwa pewna sceptyczna uwaga: nie ma takiej siły, która by zlikwidowała epidemię melin pijackich, skoro istnieją pewne jawne nonsensy ustawodawstwa. Do nich należy zakaz sprzedaży alkoholu w placówkach uspołecznionych w dniach wypłat. Dla chcącego nie ma nic trudnego, więc rodzina człowieka lubiącego wypić więcej traci na przepłaceniu w melinie, a ponadto, jak każe mniemać zdrowy rozsądek, ogromna część grosza przechwytywana jest przez prywatnych, a więc nielegalnych szynkarzy. W końcu do tradycji robotniczego miasta należy „odbić te pół litra" w dniu wypłaty z kolegami, legalnie, w restauracji III kategorii, albo i w domu ze ślubną małżonką. Ta tradycja dotyczy dnia wypłaty i zaliczki w fabryce, a żadne pół-prohibicje nic dobrego nie są w stanie zdziałać. No, bo z jednej strony mamy szereg obostrzeń, a z drugiej strony wzrost spożycia alkoholu na głowę mieszkańca.

Innym sposobem spędzania czasu w nocy jest pobyt w melinach kuplerskich. Wiadomo, dajmy na to, że w rejonie Wschodniej prostytutki przyjmują „klientów" u siebie w domu. Ale są również całe przedsiębiorstwa kuplerskie, wynajem łóżek, pokoi, nocy. Panuje zresztą tutaj swoista hierarchizacja — bo przecież Komenda Miasta MO miała trzy sygnały, o elitarnych, pięknie wyposażonych domach schadzek. Krótko mówiąc, takie małe dolce vita. Sprawa melin kuplerskich już nie jest sprawą błahą, bo wiąże się z tą kwestią stręczenie do nierządu nieletnich, wyzysk, deprawacja.

Co w tym wszystkim może zdziałać MO? Komendy skrępowane są ogromną ilością sprzecznych przepisów (o takim paradoksie ustawowym wspomniałem już wyżej), ponadto dochodzenie w sprawach melin kuplerskich jest niezmiernie utrudnione — poprzez kompletne milczenie zainteresowanych. Inwigilacja osób podejrzanych też jest utrudniona, z uwagi na rozmiary zagadnienia. To wszystko stwarza rodzaj błędnego koła.

Potrzebne jest cięcie — nie represyjne, ale zupełnie innego rodzaju. Potrzebne są lokale nocne z dobrym programem muzycznym i kabaretami, zamiast pojedynczej, zatłoczonej „mordowni". Każda opisana sprawa jest właściwie rzeczą ludzką. Ale wiąże się z pojęciem — kultura. Przygodna znajomość, kończąca się częstokroć pobiciem i obrabowaniem amatora nocnego życia, z kulturą nie ma nic wspólnego. Potrzebne są więc hotele, żeby człowiek z dworca szedł do recepcji, a nie do taksówkarza, który wskaże mu „wyszynk z dziewczynkami" o godzinie drugiej w nocy. Potrzebne są wreszcie nocne seanse kinowe, cieszące się niezmiennym powodzeniem, a urządzane li tylko w dni przedświąteczne.

To, że już rzadko kiedy zdzieli mnie cegłą na ulicy chuligan — dzięki dobrej akcji lotnych, sprawnych patroli — jest zbyt małym sukcesem jak na miasto, które w niedługim czasie osiągnie milion mieszkańców. Skoro „branża rozrywkowa" znajduje się w rękach kuplerów, prostytutek, nieuczciwych taksówkarzy — to perspektywy napawają niejakim sceptycyzmem. Łódź jest coraz piękniejsza za dnia. Pomyślmy również o nocy. Neony nie wystarczą.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

D'Oria ma oczy przymknięte

Tadzio zabawia mnie opowiadaniami o pracy w porcie. Jest sztauerem. Nie wiem co to takiego i Tadzio próbuje mi wytłumaczyć.

— Co ty tam właściwie robisz — pytam.

Mówi mi o jakimś hiwie, który przyjmują sztauerzy i o rozsztaplowywaniu towarów w ładowni statku.

— Ki diabeł ten hiw?

— Nic nie rozumiesz — złości się Tadzio. Po dłuższym jego wykładzie zaczynam nareszcie pojmować o co chodzi. Hiw to partia towaru, którą podnosi dźwig przy załadowywaniu lub rozładowywaniu statku. Tadzio od jakiegoś czasu daje mi do zrozumienia, że chce dokonać ważnego racjonalizatorstwa. Wynalazek, o ile się orientuję przy mojej skąpej wiedzy technicznej, zastąpić ma lukowego.

— Kto to jest lukowy?

— Lukowy — tłumaczy mi Tadzio — to ważna figura. Jeden z naszej brygady sztauerskiej jest lukowym. Musi mieć dobre oko. Kapujesz? Stoi taki facet przy luku na statku i umownymi znakami kieruje pracą dźwigu. Jeśli lukowy się zagapi lub da niewyraźny znak ręką to cholera wie co się może stać.

— A co takiego? — pytam.

— Jak to co? — krzyczy Tadzio. — Ty się pytasz? Więc ci powiem! Może zniszczyć cały towar, może go spuścić na łeb innym sztauerom, pozabijać ich albo przynajmniej pokaleczyć. I ty się pytasz co się może stać?

— No i co ty na to poradzisz?

— Właśnie — odpowiada Tadzio — chcę zrobić taki wynalazek, żeby dźwigowy sam widział co się dzieje w ładowni. Sam. Bez pomocy lukowego. Kapujesz?

— I jak chcesz to zrobić?

Ale Tadzio nie odpowiada.

— Jeszcze nic nie powiem — odzywa się po chwili. — Bo może nic z tego nie wyjdzie i będziesz się potem śmiał.

Bierze zeszyt i zaczyna w nim coś rysować. Kiedy zaglądam mu przez ramię, spostrzegam, że nie bardzo daje sobie radę z rysunkiem. Nie wierzę, żeby ten chłopczyna mógł się uporać z takim problemem.

W pierwszych miesiącach mojego pobytu na Wybrzeżu lubiłem po pracy w biurze wybrać się na Stare Miasto. Krążyłem wśród ruin, wyszukiwałem wzrokiem jakąś cudem zachowaną fasadę lub inny fragment budowli, przypatrywałem się starym cegłom, zwalonym obelkowaniom. Rekonstruowałem w myślach kamienice i kamieniczki chcąc je ujrzeć w dawnym, nienaruszonym stanie.

Przystawałem, patrzyłem w kierunku gdzie leżał port. Widziałem w wyobraźni żaglowe statki wpływające majestatycznie do portu, obciążone bogatym ładunkiem, pachnące korzeniami z dalekiego Lewantu.

Wracałem potem skręcając w uliczki, jeśli nie tarasowały ich gruzy. Gdzieś tutaj — myślałem — żył Heweliusz, browarnik i astronom w jednej osobie, który przy ulicy Korzennej, na dachach trzech obok siebie stojących kamieniczek, całymi nocami wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo nad Gdańskiem. Urodził się w siedemnastym wieku, sporządził pierwszą na świecie mapę księżyca, ułożył katalog tysiąca pięciuset sześćdziesięciu czterech gwiazd, założył szlifiernię optyczną i własną drukarnię. O jego życiu i dziełach dowiedziałem się szczegółów w Miejskiej Bibliotece, do której kiedyś zaszedłem przez ciekawość. Pokazano mi tam oprawione w skórę, dzieło Jana Heweliusza „Machina coelestis" z tytułową kartą sztychowaną kolorowo, wykonaną przez rytownika Jeremiasza Falcka. To Heweliusz na cześć króla Jana III nazwał odkryty przez siebie gwiazdozbiór „Tarczą Sobieskiego".

Oglądałem stare sztychy, widziałem pożółkłe księgi „Ideae Regis to jest na szczęśliwą elekcją teraz naiaśnieyszego y niezwyciężonego monarchy Jana III kazanie Daniela Kałaia" z roku 1674. Widziałem najstarszy jaki się zachował, wizerunek Gdańska z około 1575 roku z polskimi napisami, pokazywano mi pierwszy druk gdański, jedną ocalałą kartę z „Donatus minor" sprzed 1499 roku. Czytałem tekst zaczerpnięty z „Vita Sancti Adalberti", w którym dziejopis Jan Canaparius po raz pierwszy w historii użył pod datą 997 roku nazwy Gdańska: „Bolesław dowiedziawszy się o zamiarach Wojciecha zaopatrzył go w okręt, który dla bezpieczeństwa drogi uzbraja w należytą załogę. Wojciech najpierw stanął w grodzie Gyddanyzc, który będąc na granicy obszernego państwa Bolesławowego dochodzi do morza" — brzmiało dosłowne tłumaczenie łacińskiego tekstu Jana Kanaparza.

Kiedy zwiedzałem bibliotekę, gdy szperałem wśród starych ksiąg ochoczo mi pokazywanych przez pracowników biblioteki, zwrócił moją uwagę niezwykły portret wiszący na ścianie. Obraz przedstawiał starca o bladej, wymizerowanej, długiej twarzy. Starzec miał oczy przymknięte. Było to dziwne. Czemu ten człowiek pozując malarzowi, przymykał oczy?

Stałem właśnie przed portretem, gdy posłyszałem za sobą kobiecy głos:

— Czy pan wie kto to jest?

Odwróciłem się. Przede mną, w roboczym kitlu stała kobieta, jedna z pracownic biblioteki. Uśmiechała się przyjaźnie.

— Nie, nie wiem.

— To markiz Jan Bernard Bonifacy d'Oria.

Ponieważ zauważyła, że nic mi to nie mówi, zatoczyła krąg ręką. — Ta nasza biblioteka... ten księgozbiór... To się zaczęło od niego — powiedziała wskazując na portret starca.

— Neapolitański wygnaniec, tułacz bezdomny który błąkał się na swym okręcie przez trzydzieści pięć lat po morzach, roku pańskiego 1591, miesiąca sierpnia, dnia dwudziestego piątego znalazł się w Gdańsku — mówiła kobieta nieco patetycznym tonem. Spojrzała na mnie, a widząc, że przysłuchuję się jej z uwagą, ciągnęła dalej:

— Statek d'Orii rozbił się niedaleko stąd. Na okręcie swym markiz miał bogaty księgozbiór, a że książki miłował, rozstać się z nimi nie chciał w ciągu kilkudziesięcioletniej podróży. Podczas katastrofy morze pochłonęło większą część księgozbioru. Część jednak zdołano uratować. D'Oria osiadł w Gdańsku. Wzrok starca, zmęczony wpatrywaniem się w księgi osłabł. Ślepnący markiz dzieła wydarte morzu przekazał Radzie Miejskiej. Był to zaczątek biblioteki. Za swój dar otrzymał d'Oria dożywotnio jednego florena węgierskiego na tydzień i cichy kąt w dawnym, pofranciszkańskim klasztorze.

Kobieta zamilkła. W gmachu panowała cisza, tylko z sąsiednich pomieszczeń dochodził szelest przewracanych kart.

Przymknęła oczy. Jej blada pociągła twarz odcinała się na tle ciemnej ściany jak bladą twarz d'Orii na ciemnym tle obrazu. Kobieta otworzyła oczy. Zdawało mi się w tym momencie, że i d'Oria uniesie martwe powieki. Rzuciłem wzrokiem na obraz, ale starzec trwał uroczyście w swej dawnej pozie.

— Ja... tak mówię... — powiedziała szeptem. — To niemal cały wykład.

— Skąd pani to wszystko wie? — spytałem po chwili.

Uśmiechnęła się.

— Wiem o wiele więcej. Gdańskiem i jego historią interesowałam się od dawna. Toteż zaraz po wyzwoleniu znalazłam się jako jedna z pierwszych tu w Gdańsku. Szczęściem gmach Biblioteki pozostał nienaruszony. Więc może pan sobie wyobrazić jak się cieszyłam mogąc znaleźć się tutaj, wśród starych ksiąg, grubych folialów, sztychów, pamiątek polskości.

Zamilkła. Spojrzała na mnie i zaczerwieniła się.

— Przepraszam...

Halina Korbik — „Portret kobiety". *Fot. A. Idziński*

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Portret Dziewczyny z różą

Właścicielka przestrzeni czasu I o ciele
nieprzenikliwym a więc tak w sobie zamknięta
jak dom rzucony nagle Wygaszona
jak płomień świecy zaciskany w pięściach

Bez względu na czas względny od siebie odległa
o siedem luster Starsza od siebie o przestrzeń
trwam
ja i róża różowości
trwam
ja i róża woni pełna
trwam
ja i róża różańcowa
trwam
ja i róża popromienna

Epitafium

gaudeamus — wyfrunął nocą facet oknem
mówiono że wielki
poeta a guziki w podartej kapocie
świeciły mu jak muszle zbierane świtaniem
nad śródziemnym morzem lub egejskim lub
nad b a r d z o spokojnym oceanem

w prawym bucie miał dziurę pewnie
gwiazda w piętę go łechtała bo się
śmiał kiedy leciał coraz głębiej
okulary mu się na nosie przekrzywiły
aż

gaudeamus — potomnym zostawił
dwie butelki próżne i dwie pełne
osiem książek nader ciekawych
plus wiersz nowy pod tytułem „Szczęście"

— Za co?

— No, że ja tak o sobie... — odezwała się nieśmiało.

Ktoś z pracowników Biblioteki, jakiś mężczyzna przeszedł obok nas obrzuciwszy oboje uważnym spojrzeniem.

— Pójdę już — powiedziała podając mi drobną dłoń.

Kiedy opowiadałem Tadziowi o d'Orii przysłuchiwał się ze znudzeniem, jeśli nie pogardą.

— Arystokrata i krwiopijca — orzekł, gdy skończyłem moją opowieść.

— Kto d'Oria? — spytałem zdumiony.

— No, a co ty myślisz? Przecież sam mówisz, że to markiz czy inny hrabia i że miał statek i własną bibliotekę. Pewnie niezle poty wyciągnął z poddanych chłopów. Ty wiesz ile taki statek i takie stare książki musiały kosztować?

— Ależ Tadziu, posłuchaj...

Tadzio ostentacyjnie wpatrywał się w okno.

Innym razem opowiedziałem mu o Heweliuszu.

— Burżuj! — orzekł krótko Tadzio. — Nie miał nic do roboty to się zabawiał oglądaniem gwiazd. A w dzień wysypiał się, wyzyskiwacz.

— A ty jesteś kułak, tak kułak! — zawołałem chcąc go podrażnić.

Tadzio szalał.

— Ja? Kułak? — krzyczał miotając się po naszym wspólnym pokoju.

— Ja? Kułak? Ja jestem z biedniackiej rodziny. Rozumiesz? Spójrz na moje ręce — wrzeszczał Tadzio. — No, spójrz! Widzisz?

— Widzę — mówiłem. — Widzę. Nie jestem pewny czy je umyłeś po powrocie z pracy.

Tadzio żuł przekleństwa, biegał po pokoju, zapowiadał, że mnie udusi własnymi rękami. Nie brałem na serio tych pogróżek. Tadzio był porządnym chłopcem. Podziwiałem jego upór i wytrwałość jakie okazywał przy obmyślaniu swego racjonalizatorstwa. Wątpiłem jednak czy uda mu się realizacja jego pomysłu. Zbyt był surowy i niewiele umiał. Nie gardził też wódką i lubił dziewczyny. Zdaje się, że korzystając nieraz z mojej nieobecności sprowadzał do pokoju mewki. To określenie było na Wybrzeżu jednoznaczne.

Kiedyś, gdy wróciłem do domu nie zastałem Tadzia w mieszkaniu, natomiast z przerażeniem stwierdziłem, że ze ściany w łazience zniknęło lustro. Co on mógł z nim zrobić, zastanawiałem się. Upił się i potłukł po pijanemu?

W szufladzie stolika znalazłem kawałki potłuczonego lustra. No, niech tylko wróci, postanowiłem, dam mu nauczkę.

Tadzio wraca we wspaniałym humorze.

— Piłeś? — pytam oschle.

— Ależ skąd? Nawet kieliszka. Ale słuchaj!

Zaczyna mi opowiadać, że jego projekt racjonalizatorski to nie taki zły. Rozmawiał dziś w porcie z kimś ważnym i tamten pochwalił pomysł. Teraz Tadzio schyla się pod łóżko i wyciąga jakieś deszczułki, metalowe płytki, druty, żelazne patyki, gwoździe, młotek.

Jestem wściekły. Tadzio rzuca te wszystkie graty na stół.

— Zaraz ci pokażę, na czym mój pomysł polega — mówi, nie zauważając, że jestem bliski szału.

— Słuchaj! — mówię, siląc się na spokój. — Słuchaj! Ty racjonalizatorze od siedmiu boleści. Coś ty świńtuchu wyprawiał z mewką w łazience?

— Co takiego? — pyta Tadzio.

— No, gadaj!

— O co ty mnie posądzasz? W łazience z dziewczyną? Zwariowałeś chyba. Owszem, nie będę ukrywał czasem przyciągnę tu jakąś lalunię, ale żeby zaraz do łazienki? Masz mnie za zgniłego burżuja?

— Coś zrobił z lustrem? Samo zniknęło i zrodziło się w postaci sproszkowanej w szufladzie?

— Ach! O to ci chodzi?

— Potłukłeś czy nie potłukłeś?

— Potłukłem, ale to w celach naukowych — odpowiada z powagą Tadzio.

— Nie słyszałem, żeby dla celów naukowych ktoś niszczył mieszkanie.

— Poczekaj! Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Tylko uważaj! Umyśliłem sobie, że te lusterka... Rozumiesz? Na zasadzie, tego, no pery...

— Peryskopu — podpowiadam.

— Właśnie. Jedno lusterko odbija i drugie i trzecie... Tylko to wszystko trzeba należycie poustawiać. Wtedy dźwigowy patrząc w to lusterko, które miałby przed sobą, widziałby dokładnie co się dzieje w luku i koło luku. I dlatego potrzebne mi były te kawałki lustra. Rozumiesz teraz, że to w celach naukowych?

Tadzio ustawia teraz te wszystkie patyki, drewniane i metalowe blaszki, coś tam przybija młotkiem. Dziwna konstrukcja rzeczywiście zaczyna przypominać dźwig.

— No, a teraz te lusterka — próbuje je przymocować, aby jedno odbijało obraz w drugim.

— Niech cię diabli wezmą z twoim racjonalizatorstwem — mruczę pod nosem, ale w gruncie rzeczy podoba mi się ten zapał i upór Tadzia. Licho go wie? Może rzeczywiście dokona wynalazku.

Wkładam jesionkę i wychodzę z domu. Nad Oliwą błyszczą gwiazdy. Gdzieś tam na nieboskłonie migocze „Tarcza Sobieskiego". Przychodzi mi na myśl obraz starca na portrecie w Bibliotece.

Przez Gdańsk przeszła wojna. Ogień i żelazo kruszyły to piękne miasto. A d'Oria wśród starych ksiąg przetrwał z kamienną twarzą, z opadłymi na oczy powiekami dziejową burzę. „D'Oria ma oczy przymknięte, nie budźcie spokoju d'Orii" — przychodzi mi nagle do głowy fraza, która jest jak początek wiersza.

(Fragment z przygotowanej dla Wydawnictwa Łódzkiego powieści pt. „Brzeg")

POLONICA

POEMAT O ALEKSANDRZE ULJANOWIE

Wiadomo, że duży wpływ na młodego Włodzimierza Lenina wywarł jego brat, Aleksander, stracony 8 maja 1887 r. za udział w zamachu na cara. Otóż w czasopiśmie „Don" ukaże się rosyjskie tłumaczenie polskiego poematu o Aleksandrze Uljanowie. Dzieło to po raz pierwszy pojawiło się w październiku 1887 roku w gazecie „Przedświt" — organie polskiej partii rewolucyjnej „Proletariat" i według danych Muzeum Włodzimierza Lenina w Warszawie nie było publikowane ani w Polsce międzywojennej, ani w PRL. Autorstwa poematu nie udało się niestety ustalić.

Fragmenty powieści poetyckiej „Uljanow" zamieściła moskiewska „Litieraturnaja Gazieta" w numerze **11** z roku bieżącego.

☆

W Kijowie wydano tom materiałów sympozjum naukowego poświęconego problemom wpływu Rewolucji Październikowej na literatury słowiańskie. Sporo miejsca zajmują w książce sprawy polskie. Dotyczy to zwłaszcza analiz złożonych dróg ideowo-twórczych Władysława Broniewskiego i Brunona Jasieńskiego. W swojej pracy „Droga Brunona Jasieńskiego do realizmu socjalistycznego", wysoko ocenionej przez krytykę radziecką, znany uczony, prof. Hrygorij Werwes, wykorzystał unikalne materiały z archiwum Władysława Broniewskiego.

☆

Wyszła z druku praca cenionej polonistki ukraińskiej, Julii Bułachowskiej, „Problematyka satyry polskiej lat 30—40 XX wieku". Autorka ukończyła również studium pt. „Problemy rozwoju stylów poezji polskiej I połowy XX wieku a twórczość Leopolda Staffa".

☆

W nr 3 ukraińskiego czasopisma „Dnipro" opublikowano fragmenty książki Jerzego Jędrzejewicza o Tarasie Szewczence — „Noce ukraińskie albo rodowód geniusza".

POLONICA

JERZY RZYMOWSKI

Słowo o generale Bołdynie

W najnowszej książce Putramenta*) śledzimy rozwój wydarzeń poprzez przeżycia i spostrzeżenia narratora. W miarę narastania jego doświadczeń rozszerza się krąg widzenia skomplikowanych spraw wojennego świata, wyłaniają się, nie dostrzegane zrazu, kontury konfliktów, często ambicjonalnych, zaś mit heroicznego generała Bołdyna poddany zostaje próbie konfrontacji z rzeczywistością, co postać tę „odbrązowi", a zarazem ukaże go jako człowieka moralnie kontrowersyjnego w obiektywnych konsekwencjach wielu swych decyzji i czynów. Te przewartościowania legendy generała modelują samego narratora, pogłębiają jego obserwacje i przemyślenia, są motorem jego wewnętrznych przemian, od momentu bowiem desperackiego wyjazdu z Warszawy aż po scenę końcowej biesiady „pod jabłoniami" na terenach wyzwolonych Pakosz-Spekulant-Mroczny (takie są kolejne pseudonimy bohatera) egzystuje pod magicznym, niewolniczym urokiem mitu, a potem żywej postaci Bołdyna. „Już od miesięcy mój stosunek do tego człowieka określał całe moje postępowanie, był dominantą mego życia" — stwierdzi w jednej z licznych refleksji.

Z tego wpływu bohater nie wyrwie się już do końca powieści; gdy generał zginie, Mroczny będzie zachowywał się tak jak on, będzie przemawiał jego słowami.

Postawa narratora ewoluuje od duchowej rozterki, bezradności, wahań ideowych i słabości charakteru, cech zapisanych na konto jego inteligenckiego pochodzenia, do świadomego czynu, wewnętrznej integracji i silnej woli, od naiwnych, uproszczonych wyobrażeń o świecie do zrozumienia rzeczywistych uwarunkowań ludzkiego życia i wnikliwego zagłębiania się w otaczającą go społeczność.

Motywacja postawy życiowej narratora i sposób, w jaki przedstawił autor przezwyciężanie wynikających z niej ograniczeń bohatera, korespondują z prozą tzw. obrachunków inteligenckich, rozkwitłą bezpośrednio po wojnie, ale świadczą także o posługiwaniu się w koncepcji jednostki ludzkiej zbyt uproszczonymi stereotypami, co niewątpliwie zmniejszyło szansę realizacji tych zamierzeń, o których czytamy w słowie odautorskim na obwolucie książki, gdzie Putrament sugeruje, że „Bołdyn" jest „studium psychiki ludzkiej", a nie „przyczynkiem do literackiej historii walk wyzwoleńczych narodu polskiego podczas okupacji".

Nie sposób odmówić autorowi trafności wielu celnych spostrzeżeń psychologicznych, kilku wyraziście zarysowanych sylwetek (Elka, Zybert, Baćmaga, Krupicki), nade wszystko zaś znakomitej kreacji Bołdyna, jednakże specyfiki i wartości omawianej powieści należałoby szukać w innych umiejętnościach warsztatu pisarskiego Putramenta.

Myślę tu o talencie rejestracji drobnych, ale charakterystycznych i znaczących w epickiej perspektywie utworu, realiów, które wypełniają szkielety konstrukcyjne rozmaitych sytuacji życia partyzanckiego, niekiedy bardzo dramatycznych, pełnych napięć i niepokoju (rozwój kryzysu w oddziale), przeważnie jednak stonowanych w rytmie powszedniej obozowej egzystencji, ukazują w sposób sugestywny, barwny i przekonywający blaski i cienie rzeczywistości — empiryczną prawdę życia.

Myślę tu nie tylko o odtworzeniu atmosfery leśnej gerylasówki, o krytycznym, nowatorskim ukazaniu konfliktów wewnątrz partyzantki, odmitologizowywaniu ruchu oporu, przedstawieniu trudności, jakie osobiste ambicje, animozje, rozwichrzone charaktery, niewiedza i brak dyscypliny stwarzały w walce (kapitalne sceny odpraw sztabowych), jak roz maite racje osobiste, układy personalne rzutowały na los oddziału.

Pisząc o wartości nowej powieści autora „Małowiernych" myślę tu także o wprowadzeniu do utworu problematyki politycznej i filozoficznej, której ranga stawia omawianą książkę Putramenta w czołówce współczesnej prozy polskiej. Temat wojny i okupacji stwarza wiele naturalnych możliwości do dyskutowania zagadnień moralnych i egzystencjalnych, podsuwa zarazem aż nazbyt wiele symplifikacji i banału. Te rafy i mielizny Putrament na ogół szczęśliwie ominął, prezentując w „Bołdynie" ładunek intelektualny, nie pozbawiony oryginalności i godny głębokich przemyśleń.

Funkcje mitu, legendy, fikcji w praktyce politycznej, relatywizowanie wartości prawdy w stosunku do taktycznych potrzeb chwili (np. owo „przykrawanie raportów do nastroju generała", sterowanie decyzjami Bołdyna za pomocą odpowiedniej cenzury wiadomości docierających do dowódcy), odpowiedzialność moralna za decyzje i czyny przy jednoczesnym osamotnieniu psychicznym władzy („samotność generalska"), konieczność wyboru spośród wariantów ekstremalnych i bezwzględny nakaz konsekwencji w postępowaniu dla zachowania autorytetu władzy, gwarantującego siłę w walce („gębę otworzysz, słowo powiesz, już słowo od ciebie niezależne i nawet tobie będzie rozkazywać") przy jednoczesnym niebezpieczeństwie tragicznych pomyłek — oto wspólny krąg problemowy polityki i moralności, w którym mieści się sens wydarzeń, jakie niemal codziennie rozgrywają się w leśnych ziemiankach, a który wykracza swym zasięgiem daleko poza sprawy okupacji, walki partyzanckiej, wojny.

Putrament potrafi przenikliwie dostrzec konsekwencje, do jakich doprowadzić może etyczna relatywizacja prawdy i fikcji (sytuacje, w których „było groźne i milczenie i mówienie"), podporządkowanie podstawowych wartości ludzkich wyjątkowym potrzebom chwili.

Wyjątkowa sytuacja, w jakiej znajdują się bohaterowie powieści, zamknięci w otoczonym bagnami, osaczonym przez hitlerowców obozie partyzanckim, staje się jakby laboratorium ludzkich charakterów, w którym ujawniają się ich ukryte cechy, sprawdza się ich rzeczywista wartość, odbywa się nieustanny proces moralnej weryfikacji człowieka, katalizowany przez sytuacje w życiu ludzkim ostateczne. Putrament potrafił wykorzystać szansę, jaką niesie z sobą konstrukcja takiej sytuacji, toteż realizm jego ostatniej powieści polega na odtworzeniu nie tylko empirycznej, ale również intelektualnej prawdy życia.

Śmierć Bołdyna uzyskuje w tych warunkach znaczenie szczególne. Generał ginie w sposób manifestujący wolność człowieka, a jednocześnie pozostawia po sobie trwały ślad w ukształtowanej przez siebie sylwetce duchowej narratora. Konstrukcję losu tytułowej postaci utworu wieńczy refleksja filozoficzna o nieprzemijalności życia pozostawionego w dziele kontynuowanym przez innych. Odmitologizowany w powieści, legendarny Bołdyn — postać zaiste hemingwayowska — ponownie staje się mitem.

Nowa powieść stanowi duże osiągnięcie Jerzego Putramenta. Przesłanek do takiego sądu dostarczają przede wszystkim umiejętności artystyczne, zademonstrowane w „Bołdynie", ambicje dyskutowania trudnych problemów politycznych i moralnych naszych czasów. Mimo owych niewątpliwych osiągnięć nie ustrzegł się pisarz operowania schematami w myślowej orientacji powieści tam, gdzie proponował ujęcia redukujące niekiedy obraz trudnych i skomplikowanych czasów walki i cierpienia do czarno-białych podziałów („warszawskie poniżenie" Pakosza). Do niezbyt udanych wątków zaliczyć także należy romans Mrocznego z Danutą; nie wykorzystał tu autor tych możliwości pisarskich w zakresie budowy wątków erotycznych, jakie sygnalizował „Odyniec" (1964).

Rysy na fakturze tej powieści nie umniejszają jednak sukcesu artystycznego Putramenta, który dał nam piękną i mądrą epopeję partyzancką.

---

* Jerzy Putrament: **Bołdyn.** Powieść. W-wa 1969. Książka i Wiedza.

Józef Skrobiński — „Pejzaż". *Fot. A. Idziński*

Gangsterzy i samochody

Dalszy ciąg ze str. 3

zać końca z końcem. Ma małą drukarenkę, w której zatrudnia jednego pracownika.

— Może pan zarobić 5 tysięcy marek — mówi Harry. Wystarczy, że wydrukuje mi pan kilka formularzy.

— Jakiego rodzaju formularzy?

— Praw jazdy, polis ubezpieczeniowych...

Organizacja funkcjonuje znakomicie. Wozy skradzione w Austrii przemyca się do Niemiec zachodnich i do Włoch, skradzione we Francji albo w Belgii przybywają do Austrii, gdzie Harry łatwo je upłynnia wśród swoich kumpli z dolce vita. W Milano, w Paryżu, w Brukseli, wszystko odbywa się bez zakłóceń, więc kradzieże wozów, obrót przez granicę, fałszowanie papierów, sprzedaż skradzionych wozów, ekspedycja samochodów do wszystkich zakątków świata...

W marcu 1968 roku, Harry wraz z Jessicą postanawiają opuścić Kitzbuehel.

Ale kości zostały już rzucone. 2 marca, w Wiesbaden, zbierają się w największej tajemnicy przedstawiciele „Interpolu" z Francji, Szwajcarii, zachodnich Niemiec, Belgii i Włoch. Każdego roku w zachodniej Europie ginie około 60 tys. samochodów. W ogromnej większości są to luksusowe wozy sportowe. Złodzieje nie pozostawiają śladów. W roku 1968 kradzieże samochodów wzrosły o 12 proc., w porównaniu z rokiem 1967. Tylko w jednym roku 1968, „gang Porschów" dokonał około 500 kradzieży samochodów sportowych. „Nigdy jeszcze — oświadczyli przedstawiciele „Interpolu" — nie słyszeliśmy o tak ogromnej aferze kradzieży samochodów..."

Na konferencji „Interpolu" w Wiesbadenie postanowiono więc zlikwidować gang. W tym czasie Harry i Jessica instalują się w rezydencji „Oceanic" w Ixelles, w Austrii. Często odwiedzają ich wspólnicy z gangu, przyprowadzając za każdym razem nowy wóz. Wkrótce nie wiadomo już gdzie je chować. W garażu są już dwa „Porschy", jeden „BMW 2002" stoi na parkingu Hilton inne „Porschy", jeden „Alfa Romeo" i jeden „Maserati" parkują wzdłuż trotuarów. Ileż troski przysparzają dobranej parce te wspaniałe wozy?

Nadchodzi trudny tydzień. Jessica gorączkowo wertuje dzienniki, odpowiada na drobne anonse, chodzi z Harrym — tym razem nosi nazwisko Thomas Carter — oglądać garaże. Właściciele garaży nie chcą czeków, żądają pieniędzy. Wkrótce Jessica i Harry wpadają w panikę. Po raz pierwszy powstaje sytuacja która pachnie katastrofą. Teraz wypadki toczą się bardzo szybko. 26 marca ub. roku, gdy Jessica szuka w popłochu garaży na skradzione samochody, w hotelowych apartamentach zjawia się dwóch mężczyzn. Są w cywilu, ale uzbrojeni. Harry, za cały dowód tożsamości, ma prasową kartę wstępu, i to fałszywą. Wraca Jessica, ale nie ma przy sobie dokumentów i policjanci pozwalają jej zejść na dół, po dowód tożsamości, który zostawiła w samochodzie. Wraca, i podczas gdy dwóch inspektorów „Interpolu" pochyla się nad dokumentem, Harry ucieka przez drzwi wiodące na korytarz. Ucieka do Paryża. Jessica, i inni wspólnicy wędrują do więzienia. Jest to już początek końca. Z Paryża telefonuje Harry do Salzburga, do Monachium, do Milano... Wszędzie źle. Peter uwięziony, Manfred uwięziony.

W czerwcu ub. roku, w Paryżu dokonuje Harry wyczynu, chyba najbardziej zuchwałego w swej gangsterskiej karierze. Zaopatrzony w podrobione klucze, otwiera drzwiczki supernowoczesnego wozu sportowego „Chevrolet Springray" i... rzuca przekleństwo: rozlega się syrena alarmowa, ekscytuje przechodniów! Harry, nie tracąc zimnej krwi, wsiada do auta, zatrzaskuje drzwiczki — syrena milknie. Spokojnie włącza motor, zresztą nie bez trudu, bo nigdy nie prowadził tego typu samochodu. Rusza z miejsca, nieco dalej decyduje się zatrzymać, żeby przeciąć kable syreny alarmowej. Ale do tego trzeba wysiąść ze „Springraya", otwiera drzwiczki i syrena wyje od nowa. Zbliża się dwóch policjantów, Harry podnosi maskę, grzebie w motorze, znajduje kabel, podłączony do syreny alarmowej, przerywa go. Ze spokojem zamyka maskę, obaj policjanci przepraszają go i podają mu rękę. Ten młody cudzoziemiec ma wygląd dżentelmena i doskonale pasuje do tego wspaniałego wozu... Nie mówi ani słowa po francusku, już tylko dla tego samego należy mu pomóc...

W dwa dni później Jetke i jego „Springray" są już w Saint Tropez. Stąd próbuje powiązać nici, które jeszcze przed miesiącem trzymał w swoich rękach. Halo Milano! Bruno Reichart nie odpowiada. Ale dlaczego? „Interpol" przeprowadził w tym mieście szeroko zakrojoną obławę. 17 aresztowań. Szef tamtejszej bandy, Cesare Dario, próbuje wymknąć się z rąk sprawiedliwości, nie na długo. W drukarni, przy la via Lazaro Papi inspektorzy policji konfiskują 500 metalowych płyt do odbitek fałszywych dokumentów, dziesiątki kilogramów podrobionych formularzy, w językach niemieckim i włoskim... Halo Monachium! Ale przyjaciele nie odpowiadają. Nie mogą mu darować, że nie sprzedał w odpowiednim czasie skradzionego „Maserati" i że teraz skonfiskowała go policja... Halo Salzburg! Westchnienie ulgi, tutaj Nicolas jest jeszcze na wolności: „Słuchaj, Nicolas, przyjeżdżaj natychmiast do Paryża i przywieź mi klejnoty, które zostawiłem pod opieką jubilera na Franz Joseph Strasse".

W poczekalni stacji lotniczej w Orly, jakiś młody, wysoki mężczyzna, z niewielką skórzaną walizką w ręku, szykuje się właśnie do wyjścia na lotnisko. Ma bilet na samolot do Caracas. Zapina płaszcz i rusza do wyjścia, ale w tym samym momencie czuje na ramieniu czyjąś rękę: „niech pan nie robi skandalu, proszę z nami"...

Na wolności pozostało jeszcze kilka grubych ryb — w Paryżu, w Monachium, w Milano, i nie ustały kradzieże samochodów. „Interpol" nakazuje zachowanie absolutnego milczenia o aresztowaniach. W żadnym piśmie nie zamieszczono o tym ani słowa. Dopiero teraz sprawa nabrała światowego rozgłosu.

(st)

TERESA WOJCIECHOWSKA

Przyjaciele zza 4 tysięcy kilometrów

Bez przesady można powiedzieć, że było to wydarzenie kulturalne jakiego Łódź dawno nie przeżywała. 16-dniowa wizyta Państwowego Teatru Opery i Baletu im. Z. Paliaszwili z Tbilisi stała się źródłem przeżyć artystycznych najwyższej rangi dla tysięcy łodzian, którzy każdego dnia szczelnie wypełniali salę Teatru Wielkiego. Wiedzieliśmy, że Gruzini to naród muzykalny, że mają stare tradycje kulturalne, sięgające tysiącleci, że życie muzyczne stoi tam na wysokim poziomie, wiedzieliśmy, że choć jesteśmy ich serdecznymi przyjaciółmi, nie będziemy potrzebowali stosować przyjacielskiej, ulgowej taryfy przy ocenie ich występów. Nie wiedzieliśmy tylko jaki ma charakter ten tbiliski teatr operowy, czy nowoczesny czy tradycyjny, nie wiedzieliśmy co nam zaprezentują, jak rodzaj widowiska pokażą.

I tu nastąpiło miłe zaskoczenie. Pokazali przekrój wszystkiego czym dysponują, szeroką gamę możliwości repertuarowych i artystycznych. W ośmiu pozycjach opery i baletu pokazali polskiemu widzowi twórczość rodzimą gruzińską, reprezentowaną przez tradycyjną operę „Daisi" Z. Paliaszwilego i całkowicie nowoczesne o rewelacyjnej muzyce dwie jednoaktówki O. Taktakiszwilego: „Dwa wyroki" i „Żołnierz", dwa bale ty: „Gordę" D. Toradze i „Poemat" S. Cincadze. Pokazali dwie pozycje rosyjskie: „Ruslan i Ludmiła" M. Glinki i balet „Bajaderka" L. Minkusa. Pokazali wreszcie zachodnią operę klasyczną w pozycjach: „Rycerskość wieśniacza" Mascagniego, „Don Pasquale" Donizettiego i „Trubadura" Verdiego. Pokazali, że żaden gatunek operowy nie jest im obcy i że w każdym potrafią być znakomici.

Genezy sztuki gruzińskiej, a raczej może genezy jej charakteru, szukać trzeba w historii tego narodu. Starej, kilka tysięcy lat liczącej historii świetnego rozkwitu i późniejszych wielowiekowych walk z najeźdźcami i zaborcami. Lata niewoli, narodowych walk wyzwoleńczych ukształtowały mentalność tego narodu, wpłynęły na kształt ideowy i artystyczny dzieł sztuki. Sztuka, a szczególnie teatr, były przez wiele lat jedyną formą protestu, możliwością wykazania, że naród żyje, czuje, tworzy. Poprzez sztukę mogli zachować tradycje narodowe, podtrzymywać ducha patriotycznego. Dziś, w czasach rozkwitu gospodarczego i kulturalnego wolnej Gruzji, pierwiastki patriotyczne, narodowe pozostały w twórczości artystycznej. Sztuce w dalszym ciągu przypisuje się szczególne, polityczne znaczenie. Pierwsi gruzińscy profesjonalni kompozytorzy, jak Paliaszwili, Arakiszwili, Dolidze, Balanczi wadze i inni, oparli swą twórczość na folklorze, na elementach muzyki ludowej. Kompozytorzy dzieł scenicznych szukali dla nich treści w starych legendach i podaniach, wątki osobiste bohaterów przeplatały się zawsze z losami ojczyzny, z walką o jej niepodległość. Tak jest do dziś. Nasza publiczność — opowiadali nam w czasie spotkania — nie lubi dzieł nijakich, nie lubi gdy forma dominuje nad treścią. Nawet balet nie może być tylko harmonijnym układem tanecznym, musi być dramatem, musi zawierać jakieś treści.

Tbiliski Teatr Opery i Baletu przyjechał w 350-osobowym składzie. Wspaniała orkiestra, wspaniały chór właściwie zespół głosów solowych, znakomity balet. 40 solistów, z których wielu to wręcz rewelacje wokalne. A przecież to tylko część artystów tego Teatru. Skąd w tym niewielkim kraju tylu znakomitych muzyków. Na to pytanie odpowiedział z uśmiechem dyrektor Teatru Dymitr Mczelidze: — mamy cztery miliony mieszkańców, a artystów wystarczyłoby na dwadzieścia milionów. Co drugi muzyk jest u nas śpiewakiem, prawie każdy śpiewak tańczy.

Doprawdy, muzykalny to naród. Minister kultury i sztuki Gruzji Otar Taktakiszwili jest kompozytorem znakomitej nowoczesnej muzyki, którą u nas określono jako rewelacyjną, do dwóch jednoaktowych oper, dyrektor Konserwatorium w Tbilisi Sułchan Cincadze skomponował m. in. muzykę do wystawianego u nas baletu „Poemat", wnuk Zacharija Paliaszwili, którego imię nosi teatr, dyrygował kilkoma przedstawieniami. Ojciec i córka — Amiranaszwili śpiewają dziś w zespole solistów, córka jest jedną z najznakomitszych śpiewaczek. Dodajmy przy okazji, że gruziński baletmistrz Aleksiej Cziczinadze jest głównym choreografem Teatru Wielkiego w Warszawie. I przestaje być dziwne, że ten niewielki kraj, niemal wyłącznie z własnych talentów skompletował sobie tak świetny teatr.

Można więc powtórzyć tu same superlatywy o znakomitej orkiestrze, nigdy nie przygłuszającej solistów, o znakomitych dyrygentach, świetnym balecie i wspaniałym chórze. Dziś trudno byłoby wymienić choćby tylko nazwiska najlepszych — tak było ich wielu. Tak samo z solistami. Oczywiście, nie wszyscy reprezentowali jednakowy poziom, są wśród nich fenomeny wokalne jak na przykład K. Łaszkariowa, są takie perły jak M. Amiranaszwili czy T. Małyszewa, T. Gurgenidze, I. Szuszanija, T. Łapieraszwili, T. Tomadze, T. Ziejnkliszwili i wielu innych. Niezależnie od warunków głosowych wszyscy mają znakomitą szkołę wokalną, świetnie opanowaną technikę śpiewu.

Dawniej kształcili swych śpiewaków w Rosji i innych republikach, od 25 lat mają własną szkołę wokalistyki i są z niej dumni. Dyrektor Mczelidze, notabene również śpiewak, twierdzi jednak, że szkoła to sprawa drugorzędna, najistotniejsze jest właściwe ustawienie głosu, a to jest na całym świecie dla każdego głosu prawidłowe tylko jedno. Widocznie ma rację, skoro praktyka tak bezbłędnie potwierdza tę teorię.

Wizyta naszych przyjaciół zza czterech tysięcy kilometrów była wydarzeniem i dla nas i dla nich. Dla nich — bo chcieli pokazać się nam od jak najlepszej strony, chcieli, aby wszystko wypadło jak najlepiej, chcieli wreszcie konfrontacji swojej sztuki z naszą publicznością, chcieli się przekonać czy ich sztuka sprawdza się i u nas. Sprawdziła się, musiała się sprawdzić, bo jest to sztuka autentyczna, sztuka wysokiego lotu. I dlatego wizyta ta była wydarzeniem także dla nas. Mieliśmy okazję obejrzeć i usłyszeć dzieła, które usłyszelibyśmy nieprędko, albo nigdy. Mieliśmy okazję poznać piękną muzykę tego kraju. Mieliśmy też okazję zadzierzgnąć ściślejsze węzły przyjaźni, i w tej dziedzinie wizyta Gruzinów znaczeniem wykracza chyba poza granice Łodzi i Tbilisi. A przyjaźń ta jest szczera i serdeczna. Gruzini znają naszą historię, wiedzą, że naszym udziałem, tak samo jak i ich, była walka o niepodległość, wieloletnia niewola, słusznie mówią, że mamy wspólne cechy — patriotyzm, umiłowanie wolności i... poczucie humoru.

Cóż, szkoda, że nie jesteśmy jak oni muzykalni. Mimo to, miejmy nadzieję, że nasz Teatr Wielki podobał się w Tbilisi tak jak oni podobali się nam.

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

TAJEMNICE DYPLOMATYCZNYCH SEJFÓW z ROKU 1939

13 czerwca 1939 roku brytyjski ambasador w Berlinie złożył wizytę podsekretarzowi stanu w hitlerowskim MSZ. Ten ostatni, von Weizsaecker, sporządził dla swego szefa, Ribbentroppa, notatkę służbową, z którą oczywiście rychło zapoznany miał zostać sam wódz i kanclerz Rzeszy. Potem notatka ta została pieczołowicie skryta w pancernych sejfach Wilhelmstrasse...

Herr von Weizsaecker notował: „Podczas wizyty u mnie ambasador brytyjski sprowadził niemal natychmiast rozmowę na spędzający mu sen z oczu problem: czy i w jaki sposób uda się uniknąć konfliktu w ciągu bieżącego lata(...) Ze swej strony zwróciłem uwagę Hendersonowi na prowojenny charakter posunięć brytyjskich, zwłaszcza w stosunku do Polski. (Stwierdziłem, że) polityka brytyjska różni się diametralnie od tezy, którą sam Henderson tylekroć publicznie głosił: „Anglia życzy sobie panowania nad morzami, kontynent europejski może być pozostawiony Niemcom". Obecnie sprawa wygląda tak, że Wielka Brytania angażuje się coraz bardziej w sprawy kontynentu i pozwala np. Polakom igrać z brytyjskim losem(...) Na te słowa pan Henderson zareagował z uwrażliwieniem (twierdząc, że) o woli wojny nie ma mowy. Nie bronił wprawdzie angielsko-polskiej zmowy i nie zaprzeczał, że Polacy są nieobliczalni i uparci, ale — jak zwykle — tłumaczył, że zmiana nastrojów w Londynie łączy się z zajęciem przez Niemcy resztek Czech(...) Dało się odczuć z odsztywnionych (następnie) i rozluźnionych wypowiedzi Hendersona, że nie odpowiada mu brytyjski stosunek do Polski i że nie przywiązuje żadnej wagi do prób zawarcia paktu z Rosjanami, czuje się natomiast zaniepokojony możliwością wybuchu konfliktu w lecie, a to dlatego, że zdaje sobie sprawę ze swej własnej odpowiedzialności, ciążącej na nim, jako ambasadorze brytyjskim w Berlinie..."

• • •

16 czerwca 1939 roku spotkali się w Berlinie na „prywatnej" rozmowie — Herr von Weizsaecker z ambasadorem Francji, Coulondre. W rozmowie tej von Weizsaecker (wg jego własnych notatek z dnia 17 czerwca — przyp. SJ) „powiedział Francuzowi" iż „jeśli istnieje jakiekolwiek niebezpieczeństwo dla pokoju, to grozi ono właśnie ze strony Polski, która pozwala sobie na igraszki ze swymi francuskimi i brytyjskimi przyjaciółmi..."

• • •

22 czerwca 1939 roku na uroczystym obiedzie wydanym w londyńskim „Klubie 1900" na cześć lorda Halifaxa przemówił Winston Churchill. Wspomniał on, że jest, oczywiście, zasadniczo zwolennikiem polityki Jego Królewskiej Mości. Że jeszcze przed rokiem sam głęboko wierzył, iż wszelkie poczynania pojednawcze mogą w istocie służyć interesom powszechnego pokoju europejskiego. „Ale: „obecnie — wołał Churchill — nie mam więcej tego przekonania!" A to — wskutek nago-brutalnego sposobu, w jaki „Niemcy nazistowskie podarły Układ Monachijski w strzępy!"

Lord Halifax był w swych wypowiedziach na tym jeszcze spotkaniu nadal niezwykle wstrzemięźliwy... W 7 dni później, **29 czerwca 1939 roku,** w swoim przemówieniu w Chatcham House, odpowiedzialny za brytyjską politykę zagraniczną w tym okresie lord Halifax, wybrał drogę wyraźniejszego mówienia o rzeczywistości, uznając jednak za najsłuszniejsze p o c i e s z y ć (acz niezbyt zgodnie z prawdą obiektywną — przyp. SJ) narody Wspólnoty Brytyjskiej: — Mamy flotę, której nikt nie potrafi się przeciwstawić. Nasze(...) wciąż w rozbudowie znajdujące się(...) lotnictwo — nie musi się obawiać niczyich obcych sił powietrznych(...) Nasza armia lądowa, z której ongi się tylko śmiano, zdołała już udowodnić, jak wiele siły w niej tkwi" ...Halifax zapowiadał, że „jeśli teraz" znów by się „ktokolwiek odważył" zdecydować na atak, Anglia „będzie gotowa do wypełnienia swoich zobowiązań"...

• • •

30 czerwca 1939 roku zastępca Ribbentroppa, v. Weizsaecker, wezwał do siebie francuskiego ambasadora, Coulondre...

— „Kiedy Coulondre — notował służbowo von Weizsaecker — dotknął problemu niemiecko-polskiego i z racji pewnych pogłosek o wewnętrznych poczynaniach gdańskich wyraził skłonność do przewidywań bardzo krytycznych, replikowałem mu relacjami co do ekscesów w Polsce i cytatami z agresywnych wystąpień niektórych czołowych osobistości polskich(...) Widoczne było, jak spadał mu ogromny ciężar z ramion, gdy wyraziłem przypuszczenie, że — moim zdaniem — n i e znajdujemy się w p r z e d e d n i u, wielkiego konfliktu po za ewentualnością, że wywołają go Polacy swymi ekscesami. To oznaczałoby jednak f i n i s P o l o n i a e. Na to odrzekł Coulondre(...) że w wypadku polskich prowokacji Francja nie czułaby się związana. Gdyby jednakże wybuchła wojna z powodu gdańskiej samowoli, ani Francja ani Anglia cofnąć by się już nie mogły. A b y u s ł y s z e ć w i ę c e j (wszystkie podkreślenia i spacje w tekście moje — SJ.) wyraziłem wątpliwość, czyżby w istocie Anglia pozostawiła decyzję w sprawie wojny lub pokoju — w rękach jakichkolwiek ludzi z Warszawy czy Korytarza(...) Ambasador nie pozwolił sobie na wyrażenie przekonań, że Niemcy już w ciągu tego lata dokonają rozrachunku z Polską". Ambasador Coulondre wolał poświęcić swą uwagę tzw. lokalnym problemom Gdańska, nadto zaś... wyrażeniu zaniepokojeń z powodu zbyt małej dozy... „samokontroli polskich przyjaciół Francji".

Pan von Weizsaecker mógł być najzupełniej zadowolony z takiego obrotu sprawy. Pewnie też z wielkiej acz nieujawnianej zewnętrznie wobec swego rozmówcy radości — tym razem wręcz oficjalnie zastrzegł sobie „przedłożenie poglądów" obydwu panów swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, Joachimowi v. Ribbentroppowi...

• • •

Tak więc wojna wisiała na włosku już w czerwcu 1939 roku, dokładnie przed 30 laty.

„Wisiała na włosku", a może — w gruncie rzeczy — już trwała. Może najsłuszniej będzie stwierdzić, że — po prostu — WOJNA ZACZĘŁA SIĘ WCZEŚNIEJ, niż mają prawo fakt ten odnotować historycy-chronologowie?

• • •

TA WOJNA nie toczyła się zresztą wyłącznie w płaszczyźnie Berlin-Warszawa, czy — nawet — Berlin-Londyn-Warszawa, względnie Berlin-Paryż-Warszawa. „Rezerwowy", nastawiony na „alibi" FRONT PRZYGOTOWAWCZY działał także w naszym mieście. W Łodzi. Przynajmniej od kilku tygodni...

ZBIGNIEW NIENACKI

Z dzienników

(2)

R. uparł się, że jest pisarzem. Ba, krytyk w rodzaju pani Zaworskiej, może nawet gdzieś napisał, że on już jest pisarzem. Przecież pisze mu się nadzwyczaj „trudno" co gwarantuje, że jest znakomity. I dlatego, że pan R. uparł się być pisarzem, to cała Polska Rzeczypospolita Ludowa musi za to płacić i będzie płacić. R. bierze roczne stypendium w wysokości trzech tysięcy złotych miesięcznie. Gdybym ja poszedł z prośbą o stypendium, spojrzeliby na mnie jak na człowieka źle wychowanego: „Panie, pan sobie dom kupujesz i chcesz stypendium. Musimy mieć stypendia dla takich jak R, on nie ma z czego żyć."

A najgorsze jest to, że to co napisałem, jest tylko demagogią. Bo jedno opowiadanie R. może być więcej warte niż dziesięć moich książek. I nawet być może dla jednego opowiadania warto mu dawać trzy tysiące miesięcznie. To „być może", które jest kwestią osobistych ocen, gustów i kryteriów, powoduje, że w tej sprawie musi być tak a nie inaczej. I że jest dobrze właśnie tak, a nie inaczej. I nikt nie ma prawa powiedzieć do R, żeby się przekwalifikował. A ja, jeśli mu doradzam rzeźbienie, to tylko przez wrodzone mi chamstwo.

Godzi się jednak przypomnieć o tym, co czytałem w latach młodości. Jedną, a nawet dwie dobre książki jest w stanie napisać każdy inteligentny człowiek, pod warunkiem, że przeżył coś ciekawego i o tym szczerze i prosto opowie. Pisarstwo to coś więcej niż autorstwo jednej czy dwóch książek. To chyba zawód z wszystkimi konsekwencjami profesjonalizmu. A więc i z „łatwością pisania", bo w końcu właśnie chyba to decyduje o wybraniu tego zawodu.

A swoją drogą pani Zaworskiej też się chyba „łatwo pisze". Raz o Nienackim, raz R, raz o P, innym razem o W; artykuł o książkach wiejskich, o pisarstwie marginesu, o powieści kryminalnej, o Kafce itd., itd. I łatwo jej się pisze i łatwo drukuje.

24 maja 1967 r.

Dziś dostałem list od P. J. i znowu pół dnia rozmyślałem o pisarskiej profesji.

Dlaczego kupiłem dom na wsi? Dlaczego wydałem na niego wszystkie swoje pieniądze i wlazłem w długi? Czy mam chodzić po mieście i każdemu wypłakiwać w kamizelkę, że mi się tak okropnie trudno pisze? Całymi godzinami miotam się w swym mieszkaniu w Łodzi i nie potrafię wydusić z siebie nawet pół zdania. Wydaje mi się, że wszystko mi przeszkadza, wszystko stoi mi na zdradzie, wszystko jest winne mojej niemożności. Aż w końcu wyjeżdzam. Gdzie ja już nie próbowałem pisać? Miałem pokój w zamku w Oporowie, ale tam za głośno krakały wrony. Wynająłem dworek w Parcieach, ale tam była taka cholernie przygnębiająca cisza. Wiem, że jestem postrachem Domów Pracy Twórczej, bo w ciągu dziesięciu dni potrafiłem osiem razy zmienić pokoje narzekając, że tu jest zła lampa, tam skrzypi podłoga, tu syczy kaloryfer. Przeszkadza mi dzień, utrudnia pracę noc, hałas, brak hałasu. Źle mi się pisze latem, źle zimą, fatalnie jesienią i na przedwiośniu. Nienawidzę każdej ze swoich książek, chociaż uważam, że są dobre. Nie lubię o nich rozmawiać, ani o nich czytać. Nie ufam nikomu na świecie, a najbardziej sobie. Swoim zmysłom, doświadczeniom, przeżyciom, wrażeniom. Do każdej nowej książki zabieram się jak inżynier do budowy wielkiej fabryki. Żeby napisać „Sumienie", cztery lata zasiadałem jako ławnik za stołem sędziowskim. Podobno znam dobrze problemy wsi. Znam? Ale przecież sobie nie ufam. Nie odważyłbym się napisać nowej książki takiej jak „Podniesienie" bez ponownego wejścia w te sprawy. Nie wierzę już swemu dotychczasowemu doświadczeniu. Muszę je zdobyć na nowo, ale jeszcze większe, jeszcze głębsze. Żeby zrozumieć chłopa, chcę sam stać się jednym z nich, posiadaczem zatroskanym o swoje dobro, o swoją własność. Będę płacił podatki, wykonywał obowiązkowe dostawy, pełnił nocne warty, jak inni.

Chłopi, od których kupiłem gospodarstwo, obiecali, że opuszczą je do 15 czerwca. Czeka mnie więc jeszcze niecałe trzy tygodnie. Potem zostawię w Łodzi żonę, która nie lubi wsi i pojadę tam sam. I po co to wszystko? Ja wiem, ale nikomu nie powiem. Koledzy zaczną mówić, że stałem się zwolennikiem hasła: „pisarze na wieś".

Znajomym twierdzę, że kupiłem dom nad jeziorem, bo tam można ryby łapać. Tylko, że ja nie lubię ani ryb, ani wędek.

1 czerwca 1967 r.

Postanowiłem zapisać w Dziennikach fragment listu od wielkiego polskiego pisarza J. List może się gdzieś zawieruszyć, a to co w nim powiedział, daje kompromitujący obraz sytuacji, w jaką nasza krytyka wprowadziła pisarzy. J. pisze do mnie m. in.

„Z niepokojem stwierdziłem, że ostatnio, w zaledwie miesięcznym odstępie, ukazały się dwie pana powieści, dość nawet opasłe tomiska. Boję się o Pana. O siebie zresztą też się boję, bo mam jeszcze gorszą sytuację. Również tak się złożyło, że w tym roku będą opublikowane dwie moje nowe książki i jedno wznowienie. Nawet nie pytając Pana o to, domyślam się, że jedno wydawnictwo przetrzymało Panu rękopis półtora roku, a drugie nagle wydało Panu książkę „poślizgiem", czy przy pomocy innego sposobu. U mnie jest podobnie. Ale to jednak klęska. Mnie to może jeszcze darują, Pan jednak niech się przygotuje na dobre cięgi. Napiszą, że Panu się pisze zbyt łatwo i będą podejrzewać, że Pana książki są niewiele warte. Niestety, tak już u nas jest. Na Zachodzie pisarz średniej klasy (a tacy przecież wszyscy jesteśmy), musi co pół roku wydać książkę, jeśli chce, aby o nim w ogóle pamiętano, aby mógł utrzymać się na giełdzie literackiej. U nas inaczej. Pisarz, który odważyłby się co pół roku wydać książkę, byłby skończony. Wiedzą o tym starsi pisarze, drukując raz na trzy, cztery lata, albowiem taka książka budzi szacunek naszej krytyki. Dlatego tak żałośnie wyglądamy w zestawieniu z wielkimi pisarzami na Zachodzie. Każdy z nich, jeśli żył w miarę długo, pozostawił po sobie niemal całą bibliotekę. U nas „biada płodnym".

Ma rację. Choć wydaje mi się, że tylko dotknął problemu.

Polska krytyka literacka przypomina pobożnych Żydów, oczekujących Mesjasza. Ona czeka wciąż na geniusza literackiego. Od 25 lat jego nadejście zapowiadają prorocy literackiej krytyki. Jakże im nie wierzyć? Od czasu do czasu wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że geniusz się już rodzi, jest blisko. Lecz nie nadchodzi, co budzi smutek i rozczarowanie. Wprawdzie w ciągu tych dwudziestu pięciu lat napisano kilkanaście, a może kilkadziesiąt dobrych książek, ale to przecież nie to. Jeszcze nie geniusz. I niektórzy krytycy tak się zapamiętali w oczekiwaniu na geniusza, że zaprzestali pisać o bieżącej produkcji literackiej, zaprzestali ją śledzić. Zaryzykowałbym twierdzenie, że krytycy w naszym kraju są najmniej oczytanymi ludźmi. Recenzje w prasie piszą poloniści z IV roku studiów. Z pisarzami jest chyba trochę lepiej, od czasu do czasu któryś czyta któregoś. Ale na ogół się do tego nie przyznaje. Jeśli mi ktoś nie wierzy, niech wejdzie do której kolwiek kawiarni literackiej w dowolnym mieście i zapyta dowolnego pisarza, co czytał z bieżącej polskiej literatury. Zacznie bąkać, kluczyć, pokasływać. „Proszę wybaczyć, ale ja jestem tak zajęty, że ostatnio nic nie czytałem z polskiej literatury". Albowiem polski pisarz nie czyta nic poniżej Camusa, Joyce'a i Faulknera.

Jak wyobrażam sobie zjawienie się Mesjasza? Pewnego dnia stanie on w drzwiach kawiarni na Krakowskim Przedmieściu i tych, co tam siedzą, gwarzą i piją kawę, ogarnie niczym nie wytłumaczone drżenie. Skąd przyjdzie? Nie wiadomo, zapewne z prowincji, ale zamieszka w Warszawie i będzie wiedział od razu, że bez Warszawy ani rusz. Oczywiście, nie będzie miał żadnego fachowego wykształcenia, najlepiej, żeby to był amator w tej dziedzinie, a jeszcze lepiej taki trochę przygłupek Boży, „jurodiwyj" i coś tam bełkocący o literaturze. Kryminalna przeszłość nie jest złą rekomendacją. A jeszcze lepiej, żeby go zapowiedział polski korespondent „Le Mondu". Wezmą go krytycy na ręce, a on będzie ich kopał, gryzł opluwał, wrzeszczał, rozbijał szklanki i kieliszki, oczywiście pił dzień i noc, po czym da im do rąk jedno opowiadanie, o którym przez pół roku będzie na wszystkich łamach.

W rok później przeczytam, że jest idiotą. Rzucą w niego parę kamieni, a potem i tego im się odechce. Zapomną.

Ilu już było takich Mesjaszy?

Tymczasem prawda jest taka, że geniusze literaccy rodzą się w krajach, gdzie istnieje znakomity poziom średniej literatury. I gdzie jest szacunek dla rzemiosła literackiego, dla zawodowstwa. Zjawienie się geniusza nie zapowiadają proroc y, ale pojawienie się dużej rzeszy pisarzy o średniej klasie, lecz posiadających znakomity warsztat. To oni, ci „średniacy" pracują latami na powstanie geniusza, to oni tworzą tę znakomitą tradycję i szkołę dobrego pisania, przez którą musi przejść geniusz, zanim stanie się geniuszem. I jeśli już jesteśmy przy pojęciu Mesjasza, to wiemy dziś, że nie byłoby Chrystusa bez szkoły esseńczyków. Geniusze, niestety, nie rodzą się na kamieniu, ktoś na nich pracuje, ktoś ich musi ukształtować. Ci średniacy, o których potem nikt już nawet nie pamięta, ci znakomici średniacy, często może naskórkowo i płytko traktujący problemy, ale świetnym warsztatem nadrabiający brak geniuszu, oni są szkołą geniuszu, który sięgnie po problemy głębiej i doskonalej.

Dalszy ciąg nastąpi

Fot. Z. Gorzkiewicz

Oto np. w tajnych dyplomatycznych sejfach sprzed trzydziestolecia znalazły się m. in. kablogramy VON BERCHEMA, ówczesnego konsula niemieckiego w naszym mieście. Na przeszło miesiąc przed opisywanymi wypadkami, dokładnie **8 maja 1939 roku**, konsul von Berchem relacjonował Berlinowi: „Antyniemiecki terror podjudzonej ludności polskiej, charakteryzujący się napaściami połączonymi z ciężkimi obrażeniami ciała (biednych „ofiar z kół mniejszości niemieckiej" przyp. mój — SJ), groźbami, szkodami zadawanymi na mieniu, aresztowaniami i innymi szykanami, a także złośliwymi podpaleniami na terenie całego województwa łódzkiego ciągle trwa w nie zmniejszających się rozmiarach(...) Łódzka etniczna grupa niemiecka jest w najwyższym stopniu zaniepokojona i liczy się z możliwością zwiększania się i pogłębiania tej napastliwości". Konsul III Rzeszy w Łodzi, w samym sercu Polski centralnej, u wrót stolicy państwa, słał — jak widzimy — bez żadnych przeszkód swoje tendencyjne telegramy dokładnie według zaleceń i instrukcji Berlina, podobnie jak czynili to jego „dyplomatyczni" koledzy z Gdańska czy Poznania konsekwentnie montujący przyszłą V kolumnę na terenie Rzeczypospolitej i konsekwentnie prowokacyjnia zasilający sejfy na berlińskiej Wilhelmstrasse dokumentami mającymi w odpowiedniej chwili stać się pretekstem do tzw. interwencyjnych kroków Rzeszy...

Zawsze, a dziś z perspektywy lat trzydziestu — szczególnie interesująca jest (zarówno czysto historycznie jak i politycznie) próba ustalenia, czy poczynania wspomniane wyżej były i mogły być niespodzianką względnie tajemnicą dla polskich władz państwowych...

* * *

...**W czerwcu 1939 roku** przygotowywano w Gdańsku specjalny numer czasopisma „Niemców Polskich", noszącego tytuł „Der Deutsche im Osten" („Niemiec na Wschodzie"), posiadającego oficjalny debit w całym kraju (tj. nie tylko na terenie tzw. Wolnego Miasta). Wspomniany „numer specjalny" redagowano pod niedwuznacznym tytułem „Gdańsk i Korytarz" (oficjalny kolportaż rozpoczęto notabene w lipcu 39, co nie zmienia faktu, iż już w czerwcu a nawet maju treść jego była znana co najmniej polskim czynnikom oficjalnym w Gdańsku, zostawiając już na boku sprawę rozpoznań wywiadu i kontrwywiadu. (Tu trzeba przypomnieć, współczesnym przynajmniej czytelnikom, że **28 kwietnia 1939 roku** w swej „wielkiej mowie" przed Reichstagiem Adolf Hitler publicznie ogłosił zerwanie niemiecko-polskiego tzw. paktu o nieagresji, a także postawił słynne złą sławą swoje warunki tego co miało się nazywać „jedynie możliwym uregulowaniem problemu Gdańska i Korytarza": powrót Gdańska do Rzeszy, eksterytorialne autostrady i połączenia kolejowe poprzez polskie tereny w zamian za uznanie reszty granic polskich za ostateczne i propozycję „nowego 25-letniego paktu o nieagresji" etc. etc.

We wstępie do wspomnianego numeru specjalnego „Der Deutsche im Osten" zabierał głos gdański gauleiter NSDAP, Albert Forster i jego zastępca, Schmidt. Pisali oficjalnie m. in. — „Aktualny konflikt zasadniczy między stroną niemiecką a polską, konflikt w którym Gdańsk odgrywa rolę pierwszorzędną, sam przez się stwarza szczególną aktualność publikowanych materiałów, względnie: „Wypadki ostatnich miesięcy czynią z Gdańska, problemu Korytarza, jak również historii i czołowych zagadnień państwa polskiego, centralny problem aktualnego w Europie środkowej narastania konfliktu"...

W tymże numerze pisał w pracy pt. „Prusy Wschodnie, Pomorze, Korytarz" niejaki Otto Martin zupełnie jawnie i niedwuznacznie o Gdańsku i Korytarzu, że jest to dla Rzeszy „najboleśniejsza rana Wersalu", że „nie chodzi tylko o kawałek ziemi(...) lecz o sprawę zasadniczą — „wzajemnej przyjaźni lub wrogości, wojny lub pokoju", O „jedynie prestiżowy dla Polski, za to „życiowy" dla „Rzeszy" problem podstawowy czy Korytarz ma pozostać" pod władzą „niedorozwiniętej i niezdecydowanej z zasady" Polski, czy też „silnych, sprężystych Niemiec". Pisano też wręcz: „Między Niemcami a Polską — możliwa jest tylko albo przyjaźń, albo wrogość. Na stany pośrednie miejsca nie ma"...

W innej publikacji tegoż czasopisma („Volk und Raum im Osten", pióra niejakiego dr Joswiga) mówiło się także niedwuznacznie: (wprawdzie) „Układ z r. 1934 przewidywał, iż wszelkie sprawy sporne między obu narodami będą rozwiązywane jedynie negocjacyjnie, nie zmienia to jednak faktu, że nigdy nie mogły powstać wątpliwości co do tego, że sprawa Gdańska i Korytarza — nigdy nie została zapomniana a tylko czasowo odroczona(...) Status quo, jeśli zostało naruszone, to „z winy wyłącznie Polski".

...Bez głębokich „rozpoznań" sprawa była jasna. Wystarczyło czytać choćby tylko oficjalne, drukowane i kolportowane wypowiedzi, aby poznać zamysły i tendencje „gdańszczan", w sumie zaś — Rzeszy.

Niedomówień nie było, a jeśli były, to właśnie — ze strony polskiej w stosunku — przynajmniej — do opinii publicznej.

W tym układzie spraw charakterystyczny zapewne jest raport von Moltkego z Warszawy do Berlina jeszcze z 29 maja, n. t. rozmowy z podsekretarzem stanu w MSZ na Wierzbowej, Arciszewskim:

— „Panu Arciszewskiemu leżało wyraźnie na sercu wyjaśnić, że wszelkie zmiany polityki polskiej w konsekwencji angielsko-polskich deklaracji gwarancyjnych nie wynikły z jakiejkolwiek osobistej woli ministra Becka. Całą tę politykę reprezentuje Beck tylko pod naciskiem(...) opinii publicznej, wbrew swemu wewnętrznemu przekonaniu. W określonej sytuacji nie mógł on jednak już ot tak po prostu odrzucić deklaracji brytyjskich. Także jego przemówienie przed Sejmem (w odpowiedzi na przemówienie Fuehrera przed Reichstagiem — przyp. SJ.) nosi cechy wystąpienia pod przymusem, dla reprezentowania linii politycznej, której bynajmniej nie reprezentuje(...) Pan Beck ma ponoć i dzisiaj być zwolennikiem dawnej polityki(...) Pan Beck (zapewne) został zmuszony do zaakceptowania obecnej linii politycznej, choćby z tego powodu, że inaczej nie mógłby się po prostu utrzymać"...

* * *

Jest we wspomnianym czasopiśmie mowa i o tym, że „sprawa Gdańska" to „nie żadne usiłowanie niemieckiej agresji", a tylko „niemieckie oczywiste prawo do rewizji (Wersalu, przyp. SJ.) ze względów formalno-prawnych" i — po prostu — ze względu na ludzkie prawo do ojczyzny...

* * *

Zaraz, zaraz: Skąd my to znamy PO LATACH TRZYDZIESTU? Skądże by jak nie z bońskich oświadczeń — pozaoficjalnych, półoficjalnych a także oficjalnych — roku bieżącego i lat poprzednich, niezależnie od tego, czy formalnie staje się na stanowisku nieprzejednania, czy też się proklamuje tzw. „nową politykę wschodnią", a nawet — jak ostatnio — formalnie deklaruje „gotowość rozmów z Gomułką"?

NRF, uzurpująca sobie zresztą prawo „jedynej legitymistycznej dziedziczki państwowej myśli niemieckiej byłej Rzeszy", pomimo — formalnie — „zupełnie innego charakteru" tego państwa w porównaniu do Rzeszy hitlerowskiej, nie odbiega w tych sprawach zbyt daleko od wzorców III Rzeszy. Aczkolwiek bardzo się tam — w bońskiej republice — gniewają na nas i za to, że formułujemy czasem, iż NRF nie jest niczym innym jak dziedzicem junkiersko-hitlerowskich tradycji odwetu i rewizjonizmu, żamierzoną kolebką „IV Rzeszy", i za to, że „wiecznie jesteśmy zbytnio podejrzliwi i pamiętliwi" — faktem jest, że same nawet choćby tylko tajemnice sejfów dyplomatycznych i pseudodyplomatycznych sprzed lat trzydziestu wystarczająco wskazują na analogię zamysłów...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Czy życie jest snem?

Przeciętnie sypiamy osiem godzin na dobę, a więc w ciągu — dajmy na to — sześćdziesięciu lat życia człowiek przesypia lat dwadzieścia. Jedna trzecia naszego życia to sen, pozostałe dwie trzecie to jawa.

Dlaczego więc za życie skłonni jesteśmy uważać tylko czas nieprzespany? Chyba dlatego, że nasze myśli i uczucia doznawane w czasie snu wymykają się świadomości. Jeśli nawet zapamiętamy treść tego, co się nam śniło, to żenuje nas często nielogiczność marzeń nocnych ale z drugiej strony nielogiczność tę potrafimy ocenić dopiero po przebudzeniu. W trakcie snu nie odczuwamy jej.

O czym to świadczy? O tym, że istnieje odrębna logika snu, nie mieszcząca się w kategoriach naszego myślenia na jawie. Jak gdyby inne królestwo, które rządzi się innymi prawami. A zatem każdy człowiek byłby obywatelem obu królestw: innego za dnia i innego w czasie snu w nocy.

Do królestwa dnia przyznajemy się, podporządkowujemy się świadomie jego prawom. O królestwie nocy zapominamy, gdy otrząsamy się z resztek snu. Sprawy jego pozostawiamy wróżkom i kabalarkom.

Ten tradycyjny punkt widzenia bywa podważany przez współczesną sztukę, zwłaszcza przez surrealistów. Uważają oni, że nie ma powodu, by jedną trzecią życia ludzkiego wyłączać poza nawias zainteresowań. W poglądach swoich opierają się na Freudzie i na wywodzących się od niego nowszych hipotezach i teoriach psychologicznych.

W ten sposób w rzeczywistość psychologiczną człowieka wpisuje się plan jego marzeń sennych, niespełnionych życzeń, obsesji erotycznych, nawet zbrodniczych, które nie realizują się w rzeczywistości. Taka projekcja na jeden ekran spraw realnych i zmaterializowanych najskrytszych zachcianek i aspiracji ludzkich typowa jest dla niektórych współczesnych manifestacji artystycznych, m. in. dla nowego filmu.

Wyburzenie muru oddzielającego nasze życie na jawie od koszmarów sennych ma swoje skutki także filozoficzne. Prowadzi do relatywizmu: co jest właściwie rzeczywistością, a co snem? Może realne jest to co śnimy, a śnimy wtedy, kiedy wydaje nam się, że działamy rzeczywiście? Albo czy odcinki naszego życia, które wypełniamy snem, są mniej wartościowe, nie liczące się w ogólnym rachunku rzeczywistości psychicznej?

Na pytania te trudno jest znaleźć odpowiedź. Wnoszą one sporo zamętu w nasze schematy myślowe i przyzwyczajenia. Niemniej jednak są one interesujące jako ferment intelektualny, jako swoista droga do odświeżania środków wyrazu artystycznego w sztuce.

Jeżeli więc Jarosław Marek Rymkiewicz wziął na warsztat tłumacza sztukę Calderona „Życie jest snem", jeżeli uprościł barokowy gąszcz słów (zachowany w starym przekładzie polskim Edwarda Boye) i nadał sztuce niemal współczesną wymowę, to zrobił to z pewnością zafascynowany tym właśnie intelektualnym aspektem tragedii XVII-wiecznego dramatopisarza hiszpańskiego. Motyw przeniesienia księcia Segismunda w czasie głębokiego snu z celi więziennej do pałacu i przebudzenia się jego w cudem jakby odmienionych warunkach — to właśnie igranie na pograniczu snu i jawy.

Segismundo nie wie, czy złym snem była niewola, czy śni teraz na dworze królewskim, gdzie wszyscy oddają mu cześć jako następcy tronu. Gdy potem obudzi się znowu w swym skalnym więzieniu, skuty łańcuchami, rzecz skomplikuje mu się jeszcze bardziej. Doprowadzi go to do wniosków, że między snem i jego realizacją na jawie różnica jest niemal niedostrzegalna.

W końcowej scenie sztuki Segismundowi udaje się spiąć w jedno to, co wydawało mu się snem, i to, co było jego rzeczywistością. Przezwycięża też swoje złe instynkty, wykazuje przy tym niezbicie, że zło nie może być immanentną cechą człowieka. O zbrodni nie decyduje przeznaczenie, lecz warunki, w jakich człowiek żyje. Rozwinięte w nich skłonności zbrodnicze mogą być przewyciężone świadomym aktem woli.

Taka jest mniej więcej współczesna wymowa sztuki „Życie jest snem" Calderona — Rymkiewicza (zaryzykuję taki szokujący zestaw nazwisk, gdyż rola tego ostatniego nie ograniczyła się do przekładu). Można by rozpatrywać tragedię Calderona w kategoriach chrześcijańskich. Segismundo sygnalizowałby wtedy duszę ludzką, jego ojciec Basilio, który kazał go po urodzeniu zakuć w kajdany, przedstawiałby Boga. Oswobodzenie się Segismunda w końcu sztuki i pojednanie z ojcem byłoby świadomym zerwaniem duszy ludzkiej z grzechem.

Myślę jednak, że takie odczytanie sztuki nie interesowało ani tłumacza, ani reżysera Witolda Zatorskiego. Podobnie jak na plan dalszy zeszły — tak ważne dla Calderona — sprawy splamionego honoru i obowiązku zemsty. Zasadnicza wymowa przedstawienia wydobywa na plan pierwszy atmosferę zadumy nad losem ludzkim i nad psychiką człowieka, której skomplikowany rysunek niepokoił i animował do działania artystów na przestrzeni wieków.

Pytania, które postawił Calderon przed blisko trzy i pół wiekiem, są nadal aktualne. Mroki otaczające każdego, kto zbadać chce życie wewnętrzne człowieka, są równie gęste, jak były wtedy. Może dziś tylko jesteśmy bardziej tego świadomi.

Teatr Nowy wystawił nowy przekład („imitację") sztuki „Życie jest snem", wyprzedzając o dwa tygodnie warszawski Teatr Dramatyczny. Nie widziałem jeszcze stołecznego przedstawienia z Gustawem Holoubkiem w roli Segismunda. Widowisko łódzkie robi dobre wrażenie, jest klarowne i skupione na głównej problematyce sztuki.

Znakomicie oddziałuje na atmosferę przedstawienia scenografia Henri Poulaina. Prostą w koncepcji dekorację złożoną z rzędu obracających się kolumn uzupełniają girlandy z łańcuchów, sygnalizujące problem uwikłania jednostki ludzkiej w życiu. Piękne rdzawe i czerwone kostiumy bardzo swobodnie nawiązują do stylu epoki Calderona. Nic też w nich nie ma polskiego, bo i Polska u Calderona jako miejsce akcji jest umownym krajem egzotycznym.

Rola principe Segismunda jest trudnym zadaniem aktorskim. (Dowodem tego chyba powierzenie jej w Warszawie Holoubkowi), Andrzej May potraktował ją bardzo ambitnie i jak na skalę możliwości młodego aktora w sposób dojrzały. Jeśli brakło mu trochę sił dla dźwignięcia w pełni metafory filozoficznej, to bez zarzutu był jako Segismundo w działaniu.

Doskonałą kreację stworzył Janusz Kłosiński jako gracioso (czyli błazen) Clarin. Jego dramat jest jakby drugą stroną medalu w stosunku do spraw Segismunda. Proste, elementarne prawdy życiowe wypowiadane przez Clarina zabrzmiały w ustach wykonawcy w sposób niezmiernie sugestywny.

Nieco za mało dostojeństwa i szlachetnego patosu emanowało z postaci króla Basilio w wykonaniu Bolesława Nowaka. Z innych wykonawców wyróżniła się właściwie dozowanym ciepłem i namiętnością w rysunku postaci Rosaury — Izabella Pieńkowska, a dalej Bogusław Mach (Astolfo), Wojciech Pilarski (Clotaldo) i Róża Czaplewska (Estrella).

Pedro Calderon de la Barca „Życie jest snem" (La vida es sueño), imitował: Jarosław Marek Rymkiewicz, reżyseria — Witold Zatorski, scenografia — Henri Poulain, opracowanie muzyczne — Anna Płoszaj (Teatr Nowy, premiera 23 maja 1969)

spektakle tygodnia

	Liczba spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Poemat" i „Dwie nowele"	2	2520	100
„Rycerskość wieśniacza"	1	1260	100
„Bajaderka"	2	2520	100
„Don Pasquale"	2	2520	100
„Trubadur"	1	1260	100
„Ruslan i Ludmiła"	1	1260	100
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	2	1400	100
MAŁA SALA			
„Szkoła kobiet"	3	480	80
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	4	640	80
im. JARACZA			
„Ania z Zielonego Wzgórza"	2	1120	88
7.15			
„Paryżanin"	2	700	83
POWSZECHNY			
„Radziwiłł Panie Kochanku"	1	660	100
„Czarna komedia"	3	900	50
„Kawior i kaszanka"	1	560	89
OPERETKA			
„Hrabina Marica"	6	5195	83
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	700	50

TP OBIEKTYW

Wóz transmisyjny

Można by sparafrazować znaną angielską piosenkę żołnierską: „It was a long way to Tipperary". Daleka była droga wozu transmisyjnego do Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Pierwsze urządzenia tego typu otrzymały ośrodki w Warszawie i w Katowicach chyba w roku 1956, opieram się na pamięci, więc być może popełniam mały błąd).

Były to jeszcze wozy importowane. W kolejnych latach otrzymywały je inne ośrodki w kraju, w międzyczasie nasz przemysł elektroniczny dopracował się własnego wozu transmisyjnego o standardzie światowym. Dziś ma już swój wóz i Kraków, i Poznań, i Wrocław, i Gdańsk... A Łódź wciąż czeka.

Może nie w porę poruszam tę sprawę dziś, kiedy ukazały się w prasie komunikaty, że wreszcie zapadła odpowiednia decyzja i w październiku br. otrzymamy długo wyczekiwane urządzenie. A jednak trudno powstrzymać się od paru gorzkich słów pod adresem władz Komitetu d/s Radia i Telewizji i ich polityki w tym zakresie.

Łódź była jednym z pierwszych z prawdziwego zdarzenia ośrodków telewizyjnych w kraju. Wysiłkiem władz miejskich stworzono tu bardzo wcześnie sensowne warunki studyjne. Przy instalowaniu aparatury studyjnej i nadawczej wykształciła się i uformowała kadra dobrych fachowców. Wyrósł również personel programowy, ŁOT stał się poważnym współtwórcą programu ogólnopolskiego.

Od lat sygnalizowała Łódź pełną gotowość do przyjęcia i odpowiedniego wykorzystania wozu transmisyjnego, a jednak była przy rozdzielniku systematycznie pomijana. Wiele obietnic i terminów zawisło w próżni. Aż wreszcie teraz, po latach...

No, ale dość żalów! Przeszłości odwrócić się nie da. Lepiej zastanówmy się, jakie konsekwencje dla Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego będzie miało uzyskanie wozu. Jest z pewnością moment przełomowy, który wpłynąć powinien w sposób zasadniczy na programowanie. Wóz transmisyjny to przecież nic innego, jak przewoźna kompletna aparatura studyjna. Możliwości programowe ŁOT (oczywiście w sensie potencjalnym) ulegną podwojeniu.

Do tej pory Telewizja Łódzka nadawała wszystkie w zasadzie programy ze studia. Od czasu do czasu przyjeżdżał tylko wóz transmisyjny z Warszawy czy innego ośrodka, by nadać jakiś ważny mecz czy widowisko z sali teatralnej. Tzw. kontakt z życiem miasta i województwa zastępowały nieme tematy filmowe, opatrzone dorobionym później komentarzem.

Posiadanie własnego wozu pozwoli wydatnie przekroczyć mury studia telewizyjnego i wzbogacić różne gatunki programowe o bezpośrednie relacje z życia. Przede wszystkim dotyczy to sprawozdawczości. Ważne imprezy o charakterze politycznym, artystycznym, rozrywkowym, sportowym będą mogły być transmitowane „na żywo" z miejsca, gdzie się będą odbywały. Dobór takich imprez winien być przy tym podyktowany celowością bezpośredniej transmisji. Nie trzeba już dziś raczej używać wozu transmisyjnego dla reportażu telewizyjnego. W takim wypadku poręczniej i taniej jest posiłkować się dźwiękową kamerą filmową.

Ale nikt mnie nie przekona, że zarejestrowany na taśmie przebieg interesującego meczu nadany w kilka godzin po jego zakończeniu jest równie atrakcyjny, jak transmisja bezpośrednia. A szansę jej daje właśnie wóz transmisyjny.

A więc zastosowanie wozu winno łączyć się z takimi imprezami, w których równoczesność ich dziania się z transmisją daje widzowi szczególną satysfakcję. W innych wypadkach, gdy celowe jest wyjście w plener, lub do określonego wnętrza (np. teatru, fabryki, kawiarni itp.), ale gdy nie ma znaczenia, czy program będzie emitowany równocześnie z jego odbywaniem się, czy też nadany zostanie w terminie późniejszym — należy stosować raczej kamerę dźwiękową.

Tej ostatniej, choć jest aparaturą o wiele mniej kosztowną od wozu, ŁOT jak dotąd też nie posiada. Miejmy jednak nadzieję, że uzyska ją w ciągu najbliższych miesięcy. Oba urządzenia — wóz i kamera dźwiękowa — znakomicie wzbogacą możliwości programowe naszej telewizji. Obok sprawozdawczości, o której już wspomniałem, nową szansę zyska teatr telewizji, który wyłamie się z czterech ścian studia i ze sztucznej oprawy scenograficznej, by rozgrywać swoje spektakle w plenerze, na tle naturalnego lasu, nad brzegiem rzeki, czy jeziora.

Również ambitna redakcja programów rozrywkowych ŁOT wykorzysta z pewnością możliwość opuszczenia studia i organizowania programów w parkach, kawiarniach, kabaretach itp. Czasem warto będzie przy tym stosować bezpośrednie transmisje takich imprez przy pomocy wozu, kiedy indziej znów wystarczy rejestracja przy pomocy kamery dźwiękowej i nadanie spektaklu rozrywkowego w innym terminie.

Możliwości rysują się więc efektownie. Trzeba by już chyba zastanawiać się nad tym, jak je wykorzystać, by nadejście nowych urządzeń nie zaskoczyło zespołu programowego ŁOT.

Z woleja

Marzenia i rzeczywistość

Prysnęły marzenia o potędze polskiej piłki nożnej. Nie pierwszy to raz i zapewne nie ostatni nasz reprezentacyjny zespół futbolowy otrzymał solidne cięgi od przeciwników, czym doprowadził do rozpaczy kilka milionów kibiców, mających jeszcze niejakie złudzenia o wartości naszych piłkarzy na arenie międzynarodowej i utwierdzonych w tym przekonaniu przedmeczowymi wypowiedziami trenera kadry narodowej.

A ja już panu Koncewiczowi nie wierzę i co gorsza przypisuję mu spory udział w wytworzeniu złej sytuacji w polskim piłkarstwie. Przyczynił się do tego jako szef wyszkolenia PZPN. Bo jak tu odpowiedzieć na poniższe pytania:

— dlaczego na całym świecie, chociażby na przykład w Bułgarii, widać wyraźny postęp w piłkarstwie, a poziom polskiego futbolu zamiast polepszać się maleje;

— jaki jest cel wyjazdów szefa szkolenia PZPN na mistrzostwa świata czy inne ważne mecze międzynarodowe jeżeli uwagi wyniesione z tych wyjazdów nie docierają do piłkarzy, a jeżeli docierają to i tak nie są stosowane, o czym świadczy chociażby styl gry naszej drużyny;

— dlaczego wprowadza się w błąd opinię publiczną udzielając fałszywych informacji o aktualnej sytuacji w polskim piłkarstwie, szczególnie optymistycznych przed ważnymi spotkaniami międzypaństwowymi.

Wygrana 8 : 1 z Luxemburgiem wprowadziła działaczy i trenerów oraz niektórych kibiców w stan ekstazy. Jasne jednak było, że rzeczywisty sprawdzian nastąpi dopiero w meczach z Holandią i Bułgarią. Tak też się stało. 0 : 1 i 1 : 4 — to wykład nik międzynarodowej wartości naszych piłkarzy.

Dużo jeszcze musimy się uczyć, by dogonić światową czołówkę piłkarską, by nasi zawodnicy osiągnęli taką technikę jak chociażby Bonew czy Asparuchow. Sęk w tym, kto tej techniki nauczy. Chyba nie zrobi tego grupa starszych panów, traktująca piłkarstwo jako intratną posadkę i wraz z zakończeniem sezonu wędrująca z klubu do klubu w poszukiwaniu bardziej opłacalnej synekury. Ci trenerzy na pewno, niczego nowego nie nauczą. Potrzebny tu jest dobry trener zagraniczny mogący nauczyć zarówno trenerów jak i zawodników wszystkiego co nowe w tej najpopularniejszej dyscyplinie sportu. Pierwszy w Polsce do tego wniosku doszedł Polski Związek Hokeja na Lodzie, który na dłuższy okres czasu oddał kadrę narodową pod opiekę trenerowi radzieckiemu, rozpoczynając jednocześnie pod jego kierunkiem dtugofalowe szkolenie trenerów. Przecież radziecka piłka nożna reprezentuje niewiele niższy poziom od hokeja. Już widzę polskie piłkarskie drużyny ligowe pod opieką młodych absolwentów AWF i WSWF odbywające jednocześnie przeszkolenie pod okiem zagranicznego fachowca. Równocześnie zdaję sobie z tego sprawę, że są to tylko marzenia, że nadal nic się nie zmieni, że nadal będziemy się zachwycać wysokimi zwycięstwami nad Luxemburgiem, Monaco, czy Andorrą, a przegrywać z zespołami o światowej klasie.

Tak więc porażka 1 : 4 z Bułgarią odebrała nam możliwość uczestniczenia w finale mistrzostw świata, które w roku przyszłym rozegrane zostaną w Meksyku. Przeglądałem ostatnio historię udziału Polaków w tych rozgrywkach. Tylko raz w 1938 r. Polska była w finale mistrzostw świata. Po zwycięstwie 4 : 0 w Warszawie z Jugosławią i porażce 0 : 1 w Belgradzie, w finale Polacy po dramatycznym meczu po dogrywce przegrali z Brazylią w Strasburgu 5 : 6. Poza tym jednym przypadkiem ocieraliśmy się tylko o finał odnosząc całkiem niespodziewane wyniki, jak np. zwycięstwo nad ZSRR w Chorzowie w 1958 r. 2 : 1 czy ze Szkocją w Glasgow również 2 : 1 (1966 r.), a przegrywając z Finlandią 0 : 2 (1966 r.) czy z Włochami aż 1 : 6 (1966 r.). Wykres tych spotkań przypominałby linię łamaną obrazującą temperaturę bardzo chorego człowieka. Tak chorego jak nasze piłkarstwo.

„Złota Nike" — najwyższe trofeum piłkarskie obecnie znajduje się w Anglii, by w przyszłym roku popłynąć za Ocean do Meksyku. Niepozorna złota statuetka bogini ufundowana została przez Jules Rimeta prezesa FIFA od 1921 r. do 1946 r. i jego imieniem często nazywana. O tym by zobaczyć Nike w Polsce nie mamy co marzyć.

Natomiast dużo łatwiej będzie sprowadzić do kraju najsłynniejszego psa Imperium Brytyjskiego — Picklesa, który w 1966 r. odnalazł skradzioną statuetkę, za co ma prawo obecnie nosić przy obroży czarno-białą rozetkę, nie mówiąc już o głównej roli w filmie pt. „Szpieg z zimnym nosem". Korzyść ze sprowadzenia Picklesa byłaby duża. Mając dobrego nosa pies mógłby wyłowić ewentualnych kandydatów do drużyny reprezentacyjnej na mistrzostwa świata w 1974 r. Może jemu się powiedzie.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

I Turniej Jednego Wiersza o Puchar Wina

Ostatnie w sezonie 1968/69 spotkanie Koła Młodych miało charakter uroczysty. I ja zaszedłem (choć specjalnie nie proszony) w progi, które się gościnnymi na koniec jednak okazały. W świetlicy ZLP przy ul. Mickiewicza 8 odbył się I Turniej Jednego Wiersza o Puchar Wina, zorganizowany przez członków Koła. „Pierwszy", gdyż turniej ten ma odbywać się każdego roku na ostatnim, przedwakacyjnym zebraniu Koła. Można powiedzieć: kiedy nie mamy tradycji, stwórzmy ją sami.

Ale nie tylko Turniej był atrakcją wieczoru. Przy tradycyjnej lampce wina dowiedziałem się też i o tym, że Koło Młodych postanowiło przyznawać Nagrodę Wielkiego Stróża „Oryginalnej" Poezji redakcji czasopisma, które o publikuje najbardziej „tajemniczy" tekst poetycki w danym roku. Jurorami mają być członkowie Koła, których teksty nie trafią do teczki przeznaczonej na wiersze kandydujące do nagrody. Sama nagroda zaś, w postaci odpustowego, gipsowego psa, wręczana ma być na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji. W przypadku niezjawienia się na Festiwalu przedstawiciela danego czasopisma, nagroda przesyłana będzie na adres redakcji. Przewrotna nagroda. Więc potrzebna.

Powróćmy jednak do Turnieju. Przed jury, w skład którego wchodzili: Jan Koprowski (przewodniczący), Grzegorz Gazda, Roman Loboda, Jerzy Poradecki i Jan Rozental stanie tylko sporych rozmiarów puchar napełniony czerwonym winem, ale i trudny do rozstrzygnięcia problem, który z autorów ma ów puchar spełnić. A wyrównany poziom tekstów nie ułatwiał wcale zadania. Lecz trudności są po to, by je pokonywać. I tak puchar spełnił Andrzej Biskupski. Laureatem drugiej nagrody (a właściwie laureatką) została Halina Sobczak-Jarmołowska, trzeciej — Grzegorz Kościński. Nagrodę specjalną Wydawnictwa Łódzkiego zdobył Mirosław Kuźniak. Nie były to jednak wszystkie nagrody. Najstarsi „stażem" członkowie Koła ufundowali bowiem Nagrodę Klubu Weteranów Koła Młodych, która sami przyznali Janowi Karolakowi. Imprezę zakończył poetycki koncert laureatów, których nagrodzone wiersze zaprezentowane zostaną PT Czytelnikom w następnym numerze pisma.

NARCYZ DEMON

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

REPORTAŻ Z FLANDRII

Tygodnik „Paris-Match" nazywa reportażem z czasów w których żył dzieła, które 400 lat temu pozostawił wielki malarz flamandzki Pieter Bruegel. O samym życiu artysty wiemy bardzo niewiele. Peter Bruegel, zwany także Starszym lub Chłopskim Brueglem urodził się około roku 1525, w 1551 r. zapisuje się do antwerpskiej gildii malarzy, w latach 1552—53 podróżuje po Francji i Italii, żeni się w 1563 r., mając lat 44 umiera w 1569 r. Tyle o nim wiemy na pewno. Antwerpia, w której żył Bruegel była miastem bogatym i kwitnącym. Prowadzono tu handel z bliskimi i dalekimi, krajami, a ulice wypełniał, różnojęzyczny tłum. Nie tylko w samej Antwerpii, ale i na prowincji ludzie żyli zamożnie, wesoło i pogodnie.

Gdy w 1520 r. wybitny malarz i grafik niemiecki Albrecht Duerer odwiedza Antwerpię nie znajduje wprost słów podziwu i zachwytu dla bogactwa i przepychu tego miasta.

Pieter Bruegel

Ale wkrótce na kraj zaczynają spadać klęski. Piraci napadają na okręty niszcząc wszelki handel Flandrii z Hiszpanią. W latach 1562—1565 nieurodzaj wyniszcza Niderlandy, a wreszcie przychodzi najstraszliwsza z klęsk — terror wprowadzony przez Hiszpanów. Niderlandy bowiem w XVI wieku należą do hiszpańskich posiadłości Habsburgów. Ponieważ w kraju szerzy się bunt luterański, Filip II król Hiszpanii postanawia zdławić go siłą.

W sierpniu 1567 r. ląduje w Niderlandach wielka flota hiszpańska pod wodzą niesławnej pamięci Fernanda Alvareza z Toledo, księcia Alby, który dokonuje krwawego dzieła — niszczenia innowierców.

Pieter Bruegel żył w owych czasach i pozostawił na swych płótnach świadectwo tamtych czasów. Ze specjalnym zamiłowaniem maluje wiejskie sceny z życia, odwiedza w przebraniu chłopskie wesela, jarmarki, kiermasze, zabawy. Ten świat na płótnach Bruegela tętni życiem, zaciekawia folklorem, wprowadza nas w beztroski nastrój flamandzkich tańców. Ale obok tych obrazów Bruegel maluje ponure sceny terroru jak słynne dzieło „Rzeź niewiniątek", Najprzeróżniejsze sceny z życia wsi ukazuje malarz na tle ojczystego krajobrazu, malowniczego i urzekającego. Na niektórych płótnach, ku naszemu zdumieniu, w tle flamandzkich wiosek widać... Alpy, niewątpliwy dowód wpływów twórczości włoskich malarzy.

Oprócz malarstwa uprawiał rysunek i miedziorytnictwo. Pozostawił dzieła o tematyce moralizatorsko-społecznej, zwłaszcza rysunki, utrwalane następnie i kopiowane jako sztychy a zatytułowane np. „Walka dużych kas ogniotrwałych z drobnymi skarbonkami", albo „Grube ryby zjadają małe płotki", „Kuchnia tłusta" i „Kuchnia chuda" — w których przy pomocy symboliki charakteryzował różnice społeczne.

Malarstwo Bruegela oryginalne, frapujące, pełne ruchu, życia, autentyzmu, bogatego ludowego folkloru, dowcipu (do tego stopnia, że współcześni nazywali go „Wesołkiem") zdaje się być w istocie barwnym i ciekawym reportażem z czasów i kraju, w którym żył.

MARIA MALIBRAN, PAULINA VIARDOT

Postać śpiewaczki Pauliny Viardot łączy się nierozerwalnie z nazwiskiem wielkiego pisarza rosyjskiego Iwana Siergiejewicza Turgieniewa. Przyjaźń autora „Zapisków myśliwego" z piękną i utalentowaną śpiewaczką datowała się od 1843 r. i trwała aż do śmierci pisarza. W 1863 r. Turgieniew z Viardot i jej rodziną mieszka w Baden-Baden, a po wojnie francusko-pruskiej wyjeżdżają na stałe do Francji.

Pauline Viardot

Maria Malibran

Ostatnio w Paryżu ukazała się książka dwóch autorek Henrietty Chandet i Suzanne Desternes pt. „La Malibran, Pauline Viardot" o życiu sióstr, z których jedna była właśnie przyjaciółką Turgieniewa.

Urodziły się w domu muzykalnym. Ich ojciec Manuel Garcia był słynnym tenorem, matka Joaquina z domu Sitches była cenioną śpiewaczką. Obie siostry od dziecka zdradzały talent śpiewaczy. Sam wielki Rossini przyjaciel ojca i Herold, profesor Marii wróżyli jej karierę śpiewaczą. Nad głosem Marii, starszej od Pauliny o dwa lata, intensywnie pracował ojciec. Kiedyś zdenerwowany, że córka zaśpiewała fałszywie zawołał: „Nie masz słuchu. Zostaniesz najwyżej chórzystką". Na to odpowiedziała Maria: „Chórzystką bardziej utalentowaną od ciebie".

Maria Malibran zdobywa sławę śpiewaczą. Występuje w Neapolu, Nowym Jorku, gdzie wychodzi za mąż. W Filadelfii i Londynie zyskuje ogromne uznanie. Oprócz wspaniałego i doskonałego głosu, podbija słuchaczy smukłością figury, werwą, impulsywnością, siłą witalną. Mówią o niej, że elektryzuje tłumy, inni porównują ją do pantery. U szczytu sławy poznaje skrzypka Charlesa de Beriot, którego obdarza wielką miłością.

Kariera śpiewacza Pauliny zaczyna się dopiero po śmierci siostry. Wspaniale interpretuje utwory Gluck, Beethovena, Meyerbeera. Do grona jej dobrych znajomych należeli m. in.: Rossini, Liszt, Chopin, Berlioz, Wagner, Saint-Saens, Gounod, Ravel, Lamartine, Delacroix, Musset, Hugo, Renan, Maupassant, Zola. Pauline Viardot dożyła sędziwego wieku umarła bowiem mając lat 89.

TEŻ DZIEŁO SZTUKI?

Helene Parmelin, żona malarza Pignona, znawczyni i teoretyk sztuki (jest m. in. autorką prac o Picassie) wydała ostatnio dziełko pt. „L'art et les anartiste" (Sztuka i anartyści). Opowiada w nim między innymi o zabawnym zdarzeniu, kiedy to przed jedną z wystaw wożni rozpakowywali płótna i rzeźby dla rozmieszczenia ich w sali. Właśnie rozpakowywano starannie zawinięte w papier krzesło, kiedy konserwator nagle kazał przerwać tę czynność. Zajrzawszy bowiem do spisu nadesłanych dzieł stwierdził z przerażeniem, że figuruje w nim eksponat pod nazwą: „Krzesło w opakowaniu".

DRAMAT PRZYSZŁEGO CESARZA

Z okazji dwóchsetnej rocznicy urodzin Napoleona ukazała się w Paryżu płyta z nagraniem jednoaktowej sztuki pt. „Le Souper de Beaucaire", a napisanej w roku 1793. Jej autorem jest kapitan Napoleon Bonaparte. Jak wiadomo, przed swą karierą wojskową przyszły cesarz Francuzów próbował swych sił w literaturze. Próby te jednak zakończyły się całkowitym niepowodzeniem.

ZMARŁ ROMULO GALLEGOS

Słynny pisarz wenezuelski, piszący w języku hiszpańskim zmarł w wieku lat 85.

Osierocony w latach dziecięcych Gallegos przebija się przez życie. W wieku lat siedemnastu zostaje nauczycielem. Gdy ma lat 29 zostaje dyrektorem jednego z największych liceów w Caracas. Jako działacz demokratyczny jest wkrótce posłem do parlamentu. W roku 1913 wydaje zbiór opowiadań. W grudniu 1947 roku zostaje prezydentem Wenezueli, ale wkrótce zostaje usunięty przez puczpod wodzą Pereza Jimeneza. Romulo Gallegos nie przerywając swej pracy pisarskiej, przebywa następnie na Kubie i w Meksyku. Wraca do kraju po upadku Pereza Jimeneza w roku 1958. Do najwybitniejszych dzieł Gallegosa należą powieści „Dona Barbara" i „Canaima".

Od niedzieli do niedzieli

WIOSNA POETÓW

POETYCKIE PORY ROKU — NOWE NAZWISKA — DOBRZE BO DYSKUSYJNIE — KTO JEST APOSTOŁEM? — NA KTÓRE PIĘTRO? — KRYTYCZNE „SZKIEŁKO I OKO"

W małej salce na pierwszym piętrze, w tym samym gmaszysku co księgarnia „Pegaz"... no tak — wszyscy wiedzą — to lokal PAX-u... Oczywiście „Łódzka Wiosna Poetów". To już jedenasty raz... Sporo mamy poetyckich pór roku od Mszany Dolnej po Stolicę, ale która wytrzymała taką próbę czasu? Właśnie „Wiosna Poetów" trwa nieustannie, jest progiem, prologiem, debiutem i nobilitacją dla poetów wstępujących, dla tych naprawdę młodych, jeszcze bez dorobku zawartego w szczupłym tomiku.

Plonem tej nieustającej pory roku jest dziś po jedenastu latach co najmniej kilkadziesiąt książek, tomików i almanachów. Tu na łódzkim bruku objawiały się nazwiska poetów dziś już znaczących — Stanclika, Bordowicza, Górzańskiego. A z łódzkich choćby Bieriezina, Swiegockiego... Łódzka „Wiosna Poetów" ma szczęśliwe raczej trafienia. Z tej małej salki na pierwszym piętrze starego gmachu wychodzi młoda generacja poetów.

Myślę więc, że warto odnotować i laureatów z bieżącego roku. Nazwiska jeszcze nieznane, jeszcze brzmią obco, jeszcze nie obrosły w nastroje i wrażenia przeczytanych wierszy, ale zapamiętajmy je...

Stanisław Stabro, Mieszkowski, Mrzygłocki, Gola, Lachert, Michnik, Urbankowski, Jurkowski... Młodzi poeci z całej Polski — z Krakowa i Warszawy, z Mikuszowic i Łodzka. Tylko z Łodzi w tym roku zabrakło wierszy nagrodzonych w głównym konkursie — po raz pierwszy zresztą od dziesięciu lat. To nie powód oczywiście do rozdzierania szat — w poezji wiersze się liczą a nie karta meldunkowa. Poza tym zrekompensowaliśmy sobie tę nieobecność w głównym konkursie nagrodami Mirosława Kuźniaka i Andrzeja Gruna w Turnieju Jednego Wiersza. I Kuźniak i Grun debiutowali w „Odgłosach" — ten drugi nawet przed paroma tygodniami...

Do dobrych tradycji „Łódzkiej Wiosny Poetów" należą wystąpienia krytyczne — pamiętam z ubiegłego roku jubileuszowe wystąpienie Zygmunta Lichniaka, w tym roku mówił Zbigniew Dolecki — poeta i krytyk, który podjął ryzyko syntezy i klasyfikacji w swoim wystąpieniu.

Było to wystąpienie świetne, bo... dyskusyjne. Tak, tak. Cóż to za atrakcja, gdy krytyk prawi banały i odkrywa lądy już nazwane.. Zbigniew Dolecki dokonał próby pewnego zaszufladkowania poetyckich zjawisk i nazwisk i — oczywiście — taka próba musiała napotkać na sprzeciw i na... poklask.

Po prostu rzecz gustu.

Można się było z krytykiem nie zgadzać w szczegółach, metodologii, w ocenach czy klasyfikacjach, ale jest faktem, że Dolecki wprowadził jakiś ład w tym wirującym kosmosie, w tym kalejdoskopie poetyckich zjawisk. Można, rzecz prosta nie zgadzać się na przypisywanie poszczególnych poetów do nurtów — różewiczowskiego, klasycystycznego, semantyczno - filozoficznego — ale przecież w tych podziałach tkwi jądro prawdy...

W końcu tak to jest. W świecie najmłodszej poezji istnieją grupy dla których apostołem jest Różewicz i grupy, dla których apostołem jest Jarosław Marek Rymkiewicz... Są grupy dla których najistotniejsza jest zabawa w Słowo rozumiane semantycznie, i grupy dla których najistotniejsze jest Słowo w pojęciu norwidowskim. Kto gdzie zostanie przypisany (i czy w ogóle zostanie w poezji) — rozstrzygnie nieubłagany Czas. Dolecki podjął natomiast ciekawą (bo dyskusyjną) próbę oceny i klasyfikacji Zjawiska. A zjawisko to wcale nie jest takie marginalne — to przecież ćwierć wieku poezji Polski Ludowej. Debiutanci sprzed lat piętnastu mają już swoich epigonów, ba niektórzy potworzyli własne „szkoły".

Jedno jest pewne. Kilku dziesięciu autentycznych poetów, którzy szli schodami w górę na pierwsze piętro starego gmachu, którzy nieprzerwanym szeregiem idą tymi schodami od lat jedenastu mają szansę. Dla nich to pierwsze piętro jest naprawdę pierwszym piętrem w dążeniu w górę. Dokąd podążą? Na które piętro? Niektórzy z nich zostaną w katalogu poezji — innych Czas skaże na zapomnienie. Ale fakt kilkuset debiutów jest zjawiskiem, które zasługuje na uważne „szkiełko i oko" krytyka.

JERZY WIDOK

Bez strachu

NOCNY FELIETON

Zabrano mi dzisiaj dzień. Mocno piekło słońce, głośno szczekały psy, uporczywie i donośnie kuto ściany u sąsiada. Przychodzili też do mnie ludzie, częściej niż zwykle, mówili więcej niż zwykle, chcieli więcej niż zwykle. Wszystkie dzieci krzyczały dzisiaj donośnie — jakby nadrabiały rozwój strun głosowych. I tak kując, krzycząc, żądając, szczekając wycisnęli mnie ze słonecznego dnia jak krople soku z cytryny. Już ciemno, a ja jeszcze nie jestem sobą, leżę przeżywając we wspomnieniach żałosny i natarczywy zgiełk dnia. A kiedy wreszcie milkną wszelkie dźwięki, we mnie i dookoła, wstaję w milczeniu i w ciemności. Gdzie jesteście teraz wy wszyscy, którzy krzyczeli, żądali, szczekali, rozbijali ściany, gdzie jest słońce, które tak mocno w minionym dniu świeciło? Jak można tak wysoko unieść mnie w falę światła i dźwięku i nagle rzucić w ciemność i w ciszę? Jeżeli ktoś tak namiętnie żąda, tak głośno krzyczy, tak silnie świeci — zapowiada siłą tych czynności ich trwałość. Aż tu nagle gdy gotów byłem bez reszty uwierzyć w każde pragnienie, w każdy promień słońca — wszystko to pociemniało i umilkło — chociaż jeszcze niczemu nie uczyniłem zadość. Głosy i światła dnia to długi, ale przecież nagle skończony szereg kierowanych do mnie dezyderatów. Oto nim jeszcze zdążyłem przystąpić do ich spełniania zniknęły. Z wielką żarliwością wołano do mnie, prosząc o spełnienie, a spełnienia nie chciano. Każdy dzień jest słabo lub dobitnie wygłoszonym programem życzeń. Przedstawiono mi te programy tysiące już razy, nigdy nie oczekując spełnienia.

Nie wyjdę przecież teraz z mieszkania by odszukać gdzieś w dalekiej ciemności uśpione psy, murarzy którzy kuli ściany, słońce, które — świeciło — tych, którzy prosili tak długo, że nie zdążyli wypowiedzieć się przed nocą... Myślę, że fałszywy był każdy stukot młota, każde szczęknięcie, każdę słowo, każdy blask. Stukot był dla stukotu, szczęknięcie dla szczęknięcia, blask dla blasku. Nikt do niczego nie dążył — każdy tylko prezentował się jako dążący. Kiedy doczekam jutra znowu zacznie się prezentacja. Chcą wyrażać przez nieskończoność życzenia — uciekają w mrok i ciszę przed ich spełnieniem. Są to myśli, które podsuwa mi niechętna noc — tak bardzo cicha, tak bardzo ciemna, że gotów jestem sądzić, że za warstwami jej ciszy i mroku stoi najsilniejszy odgłos, kryje się najsilniejsze światło. Pragnąłbym dożyć, czy dośnić chwili, w której nie będzie ani światła, ani ciemności, ani zgiełku, ani ciszy — chwili, w której pojawi się jakaś trzecia możliwość, której intuicji jeszcze nie posiadam. Zaczątek tej chwili zaczyna się chyba na granicy światła i mroku, zgiełku i ciszy — wtedy kiedy jeszcze nie wiemy czy już jest widno czy jeszcze ciemno, czy słyszymy odgłos, czy tylko wspominamy wczorajszy martwy dźwięk. Wydaje mi się, że ten kto w pełni osiągnie tę chwilę zdoła stworzyć rzecz trwałą, która ostoi się codzienności i jej zaprzeczeniu. Ja długo już czekam na realizację tej możliwości. Siedzę, jeszcze przy stole i czekam — zabrano mi dzisiaj dzień, dlaczego nikt nie przychodzi po moją noc?

BERNARD SZTAJNERT

CHARLES B. CHILD

OKALECZONA PRZEPIĘKNA

Inspektor i sierżant pochylili się nad pierwszymi zwłokami. — Inspektorze, zauważył sierżant — ten tutaj zmarł już cztery tysiące lat temu, a ma nowoczesny nóż wbity w plecy. Nic z tego nie rozumiem.

Było chłodno w podziemnej komorze, lecz na zewnątrz prażyło słońce, wysuszając bezdrzewne równiny Iraku i szare resztki murów starożytnego miasta Akkar, świeżo odkopane przez ekipę archeologiczną.

Inspektor strząsnął popiół z papierosa. — Mój drogi Abdullahu, my z policji bagdadzkiej musimy zajmować się tylko trupami z naszej ery. Cios sztyletem zadany zmarłemu w czasach starożytnych nie jest zbrodnią, lecz tylko profanacją. W każdym razie sprawa jest bardzo skomplikowana i dobrze zrobiłeś pokazując mi najpierw tego naszego przodka.

To mówiąc dotknął czoła w ukłonie „salaam" przed postacią leżącą na ziemi. Zwłoki miały konsystencję skóry, pociemniałej od smolistej ziemi, która je konserwowała. Mumię pogrzebano w pozycji skulonej, z rękami przy kolanach. Kolorowe ozdoby z lazurytu i kryształu były rozsiane wokoło wśród strzępków tkaniny, gęsto haftowanej złotem.

Wsadzony między łopatki nóż kontrastował ze starożytnym bogactwem nędzną drewnianą rękojeścią. — Wyrób angielski — zauważył Abdullah — z importu, i w gatunku, który jest chętnie nabywany przez tubylców.

Zwierzchnik sierżanta skierował światło wielkiej pochodni na starożytnego trupa i nagle wykrzyknął: — Patrz, jakie ma drobne i silne kości, delikatne ręce, eleganckie stopy! Zauważ jego głowę, proporcjonalną do budowy całego ciała! Szerokie czoło, policzki wklęsłe, zaostrzony podbródek, długi nos! Był to zapewne przystojny mężczyzna, wysoki około 165 centymetrów, tuszy normalnej. Kogo ci przypomina, Abdullahu? Mów szczerze!

— Przypomina mi pana, inspektorze — stwierdził ze zdumieniem sierżant.

— Oczywiście, jest do mnie podobny! To jest wykapany Chafik J. Chafik, który tak by wyglądał, gdyby w cudowny sposób zachował się po śmierci. Ale ta sprawa — dodał pospiesznie Chafik, starając się opanować swe podniecenie — jest szczegółem, nad którym nie możemy się zatrzymywać. Ten człowiek prawdopodobnie zapoczątkował niegdyś mój ród, jest zapomniany, i o mnie też kiedyś zapomną.

Zwierzchnik poczęstował sierżanta papierosem i sam też zapalił. Sierżant, masywny chłop, siedział na kamieniu i cierpliwie czekał, nieruchomy, prawie jak ów starożytny zmarły.

— I co dalej? — zapytał inspektor.

— Chciałbym teraz przedstawić panu sprawozdanie o innym trupie, opowiedzieć o panu Jamilu Goury.

Chafik nie ukrywał zniecierpliwienia. — Tę informację przekazano mi już przed wyjazdem z Bagdadu. — I zaczął cytować z pamięci: — Goury Jamil. Lat 33, nieżonaty. Absolwent Instytutu Orientalnego w Bejrucie. Niegdyś wicekurator Muzeum Irackiego, potem przydzielony do Departamentu Antykwariatu w 1952 roku. Wspaniały człowiek, lecz usposobienia zbyt nerwowego... Tak, tak, wiem wszystko o panu Goury... z wyjątkiem tego, jak zmarł.

— Został uduszony.

— Kiedy i gdzie to się stało?

— Tu w pobliżu, panie inspektorze. W przejściu, które prowadzi do grobowca. — Sierżant Abdullah wskazał chodnik otwarty przez koparkę aż do grobowca. Przejście było wąskie i na pewnym odcinku trzeba było nawet pełzać, żeby przedostać się do celu.

— Zmarł tam, — ciągnął dalej Abdullah — w najwęższym miejscu tunelu, tuż przed grobem mumii. Ślady na szyi wskazują na bardzo silne ręce. Charakterystyczne, że w grobowcu nie było wówczas nikogo, kto mógłby udusić Jamila, prócz tego ze starożytności.

— Czyżbyście oskarżali mojego przodka? — zapytał podstępnie Chafik. Abdullah spojrzał na zwierzchnika z wyrzutem i nic nie odpowiedział.

— Kto jeszcze był obecny, gdy Goury zmarł? — zapytał Chafik.

— Był tam doktor Julius Anton, który jest szefem ekspedycji archeologicznej. Był także jego asystent pan Garwith, Nowozelandczyk. Następną osobą w kolejce była żona doktora, Gisela Anton, dalej Salah Kubba — kierownik drużyny roboczej. Za nimi posuwało się wielu robotników, co najmniej pięćdziesięciu.

— Nadmiar świadków jest czasem gorszy, niż ich brak — rzekł inspektor. — Pochylił się naprzód, aby zbadać nóż zagłębiony w plecach swego przodka.

— Czy i to także zostało dokonane niewidzialną ręką?

— Nikt nie wie, jak się tam dostał ten nóż, panie inspektorze.

Obaj zamilkli.

— Zimno tu — rzekł w końcu inspektor — chodźmy na słońce.

Zbliżyli się do wąskiego przejścia i zaczęli pełznąć. Inspektor, który posuwał się pierwszy, zatrzymał się w najwęższym miejscu i zauważył kawałek rozwidlonej gałązki, przykrytej częściowo piaskiem. Nosiła ślady świeżego złamania. Inspektor poznał, że była to gałązka brzoskwini.

— To dziwne — pomyślał — w Akkarze już dawno nie rosną drzewa brzoskwiniowe, a ogrody Bagdadu są odległe o przeszło trzydzieści kilometrów.

Rozciągnięty w wąskim tunelu podniósł z ziemi ołowianą kuleczkę naboju i zdziwił się, dlaczego wyżłobiono w niej otwór. Później, posuwając się dalej, poczuł, że grzbiet jego marynarki zaczepił o coś, co rozdzierało tkaninę. Usiłując uwolnić się, Chafik przeklinał po cichu nieznajomego, który nie wiadomo kiedy, umocował mosiężny haczyk w szczycie tunelu.

* * *

Doktor Julius Anton, który kierował ekspedycją, był silnym mężczyzną w średnim wieku. Jasny blondyn, niebieskooki z gęstymi brwiami i przystrzyżoną bródką. Ręce miał mocne i sękate, poczerniałe od ciągłych prac wykopaliskowych. Wokoło rozciągały się ulice i fundamenty budynków starożytnego Akkaru, monumentalne świadectwo cierpliwości i entuzjazmu badaczy naukowych.

Archeolog był — jak sam o sobie mówił — Austriakiem, który przed pierwszą wojną światową prowadził prace wykopaliskowe w różnych strefach Bliskiego Wschodu. Pod względem politycznym, według tego, co wiedział Chafik, Anton był zawsze neutralny. Mówił po angielsku nieprzyjemnym, ostrym tonem.

— Mam nadzieję, że nie dotknęliście tam niczego — rzekł spotkawszy się z Chafikiem. — Nie skatalogowaliśmy jeszcze wszystkich znalezionych przedmiotów.

— Wolę pozostawić w spokoju przodków, którzy już nie żyją — odpowiedział z powagą inspektor.

Archeolog utkwił w nim wzrok i nagle zwrócił się do żony: — Gisela, czy zauważyłaś podobieństwo? Nasz inspektor jest reliktem starożytności!

Pani Anton była sympatyczną blondynką. Malutka, jak porcelanowa figurka — i dużo młodsza od męża. Inspektor, pochyliwszy się, by ucałować jej rękę, dziwił się, dlaczego ta młoda kobieta tak pełna wdzięku, jest zawsze smutna i jakby nieobecna. Dotknięcie jej ręki było bojaźliwe i bez życia.

Chafik powiedział: — Pani Giselo — z wyrazem głębokiej sympatii i wywołał na jej twarzy uśmiech wdzięczności.

— Mój mąż jest bardzo szorstki, panie inspektorze — powiedziała Gisela.

— Czy dlatego, że mnie nazwał reliktem? Ależ nim jestem. Zapewniam panią, ja też uważam siebie za żyjącą ciekawostkę.

Anton wtrącił się do rozmowy. — Proszę cię, Giselo, dosyć już tego! Inspektor nie przyszedł tu z wizytą. — Obrócił się szybko, gdyż jakiś człowiek schodził z ruin i zbliżał się do doktora. — Mój asystent, pan Garwith — przedstawił go Anton.

Nowozelandczyk wyglądał na jeszcze mniejszego niż był, gdy stanął obok jasnowłosego olbrzyma. Twarz miał spieczoną od słońca, szare, głęboko osadzone oczy i usta dziwnie ściągnięte. Brak kciuka u lewej ręki i zabliźniona rana na ramieniu były śladami przebytej wojny.

Garwith pozdrowił obojętnie Chafika. Jego oczy ożywiły się i twarz nabrała miękkości, gdy zwrócił się do Giseli Anton: — Odkryłem starożytną wazę, należała zapewne do Sumerów... Niech pani pomyśli, doszliśmy już do tego poziomu. Chciałbym, aby pani tam poszła i zobaczyła. — Ponieważ Gisela wahała się, dodał: — Bardzo panią proszę! — Pani Anton udała się we wskazanym kierunku.

Ryszard Garwith śledził wzrokiem odchodzącą kobietę i wreszcie rzekł: — Lepiej oddalić ją stąd, gdy mówimy o Jamilu Goury.

— Bzdury pleciesz, Ryszardzie, — rozgniewał się Anton — inspektor chciał ją przesłuchać.

— Co pan pragnie wiedzieć o Króliku? — zapytał Garwith zwracając się do Chafika.

— O króliku? Nie rozumiem.

— Goury był bardzo bojaźliwy, prawie jak królik — wyjaśnił Garwith.

— Lecz informacje innych mówią, że był usposobienia nerwowego...

Garwith roześmiał się głośno. Inspektor przybrał ton poważny. — Nerwowy, czy bojaźliwy, waż ne jest dla mnie, jak umarł.

Garwith zaczął opowiadać: — Właśnie wszyscy razem wchodziliśmy do grobowca. Goury był na początku kolejki. Zwykle nigdy nie prowadził, ale ponieważ żartowałem z niego...

Dalszy ciąg nastąpi

Już w następnym numerze „Odgłosów"

KONKURS
„Śladami wielkich ludzi"

Już w przyszłym numerze „Odgłosów" opublikujemy Konkurs pn. „Śladami Wielkich Ludzi". Oczywiście bohaterami naszego konkursu są ludzie sztuki związani z Ziemią Łódzką.

Zaprosimy więc naszych Czytelników na trasę rajdu — przez Inowłódz — Lipce — Sulejów — Wolbórz do Łowicza. Kto z wielkich ludzi sztuki związany był z tymi miejscowościami? Odpowiedź na to pytanie nie jest zbyt trudna — zresztą plansza wykonana przez naszego grafika **Stanisława Ibis-Gratkowskiego** jeszcze zadanie konkursowe ułatwi.

W następnym numerze zapraszamy więc naszych Czytelników na wakacyjny rajd śladami wielkich ludzi. Pamiętajcie — w następnym numerze „Odgłosów"!

Lewym okiem

O WPINANIU MONITORÓW W GRUBE TECZKI

Ponieważ czasami pada deszcz, człowiek przezorny kupuje sobie parasol i nosi go nawet przy pogodzie. Stanowi to pewien dodatkowy wydatek a także dodatkową niedogodność, obie te rzeczy wyrównują się jednak z naddatkiem, gdy zacznie się ulewa.

Przed każdą dającą się przewidzieć trudnością staramy się jak najlepiej zabezpieczyć. Dla wielkich organizmów gospodarczych jedną z dających się przewidzieć trudności są zarządzane nie rzadko blokady etatowe. Poważna sprawa!

Nie można dopuścić do tego, żeby liczba zatrudnionych wzrastała szybciej, niż dochód narodowy, bo to by znaczyło, że gospodarujemy coraz gorzej i pracujemy coraz mniej wydajnie. Jeśli tylko zaczyna się okazywać, że w przemyśle takim czy owym przyjmuje się do pracy wciąż nowych i nowych ludzi, a produkcja tego przemysłu wcale nie wzrasta lub wzrasta minimalnie, to co się robi? Mówi się: stop. Nie ma dla was etatów. Najpierw ci co są niech pokażą co potrafią! Jak najsłuszniej. Niestety, i ten kij ma dwa końce. Zwróciła na to uwagę niedawno „Polityka": przemysł przewiduje taką blokadę, boi się jej, stara się zabezpieczyć, jak przed deszczem. Co robi? W okresie między blokadami łapie etatów ile tylko się da i obsadza je natychmiast, za wszelką cenę, nie zawsze właściwymi ludźmi. Dyrektor przedsiębiorstwa lub zjednoczenia pamięta przecież, że:

— gdy w okresie blokady etatów umrze pracownik, choćby bardzo ważny i potrzebny to na jego miejsce nikogo nowego przyjąć nie wolno;

— gdy w okresie blokady pracownik złoży po prostu wymówienie, odpracuje obowiązujący okres i odejdzie, nikogo na jego miejsce przyjąć nie wolno:

— gdy w okresie blokady pracownik wałkoni się, psuje materiał, źle działa na otoczenie, to wprawdzie można go zwolnić, ale nikogo na jego miejsce przyjąć nie wolno;

Nawet jeśli na miejsce zmarłego specjalisty Zjednoczenie chce przyjąć innego specjalistę z terenu, a zwolnić w zamian inny etat, zajęty przez mało wartego pracownika, to też nie można. Można zwolnić tamtego, owszem. Nie wolno jednak przyjąć nikogo z zewnątrz. Czyli straciłoby się od razu dwa etaty, a fachowca jak nie ma, tak nie ma!

Raz zakłada się więc etaty na wyrost i obsadza je jak się da, kiedy indziej trzyma się zbędnych i złych pracowników żeby nie pogorszyć posiadanego stanu etatów i doczekać lepszych czasów: zdjęcia blokady. Jasne jest, że w takich warunkach polityka kadrowa nie może być najlepsza. Kto wie, czy cała ta historia nie jest koronnym dowodem na prosty fakt, że samymi zakazami i nakazami nie da się kształtować życia gospodarczego całego kraju ani nawet działalności jednej tylko instytucji. A czym mógłby ktoś zapytać, jeśli nie nakazami i zakazami?

Istnieją jeszcze tak zwane bodźce. Gdyby na przykład powiedzieć dyrektorowi: masz pan sto milionów złotych rocznie na wypłaty dla ludzi, masz jeszcze to i tamto, wyprodukuj towarów tyle i takich, żeby państwo zainkasowało pięćdziesiąt milionów zysku. I już. Niech sobie dyrektor przyjmuje ludzi ilu chce. Dziesięciu lepszych po trzy kółka miesięcznie, albo piętnastu gorszych po dwa kółka. Niech szuka tych lepszych. Niech każdy pracuje tak, żeby okazać się tym lepszym, którego szukają i któremu płacą lepiej, a nie tym gorszym, którego i tak nie zwolnią.

A przy tym wszystkim — niechże w każdym wielkim przedsiębiorstwie i każdym zjednoczeniu powstanie wydział organizacji z prawdziwego zdarzenia, nie taki do układania Monitorów w grubych teczkach, tylko taki, co by powiedział i udowodnił dyrektorowi, gdzie są zbędne prace, gdzie się dublują, gdzie nie potrzeba trzech ludzi tylko dwóch.

Wydział Organizacji. Nazwa — przeżytek. Egzotyka. Organizacja to nie postęp techniczny i nawet żadnych nagród za pomysły i usprawnienia typu organizacyjnego przepisy nie przewidują. Ani takiego pomysłu opatentować, ani wyliczyć w złotych i groszach, ile zaoszczędziło się dzięki niemu pieniędzy. Zajmijmy się wobec tego czym innym.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (redaktor techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Włodzimierz Stokowski (z-ca red.naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi, Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1336. VI. B-12.